Numer 37. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 11 Września 1927

ROLA

KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Znaki szczególne.

Do komisarjatu policji wpada wystraszona niewiasta.

— Panie komisarzu — woła — mąż mój nie wrócił od wczoraj do domu. Obawiam się, że się utopił, jak kiedyś groził!

Komisarz zabiera się wobec tego do robienia notatek i pyta:

— Jakie znaki szczególne miał pani małżonek?

— Jąkał się, panie komisarzu.



Kto właściwie umiera?

Wojciech konającym głosem oznajmia zgromadzonej u jego łoża rodzinie swój testament:

— Jasiek weźmie inwentarz i te 4 morgi lasu... Magda połowę chałupy.

Wojciechowa stojąca obok przerywa:

— Wojtuś! Niech lepiej Jasiek weźmie chałupę, a Magda las.

— Nie! będzie tak, jak ja chcę!

—Zośka ma tam w skrzyni pieniądze. Józefowi daję te 2 morgi pszenicy „pod górką“.

Żona znowu oponuje. Wreszcie po kilku takich sprzeciwieniach się woli zapisującego, konający zrywa się, siada na łóżku i waląc pięścią w stół, wrzeszczy:

— Co jest do cholery! Kto tu właściwie umiera?!



Kiedy poznał żonę?

— A ty kiedy poznałeś swoją żonę? Pewno także w zapustach.

— Nie, ślub nasz był w zapustach, a żonę to poznałem dopiero w wielkim poście.



Kto się zgłosi?

Po przedstawieniu w cyrku przedsiębiorca odezwał się w te słowa do publiczności:

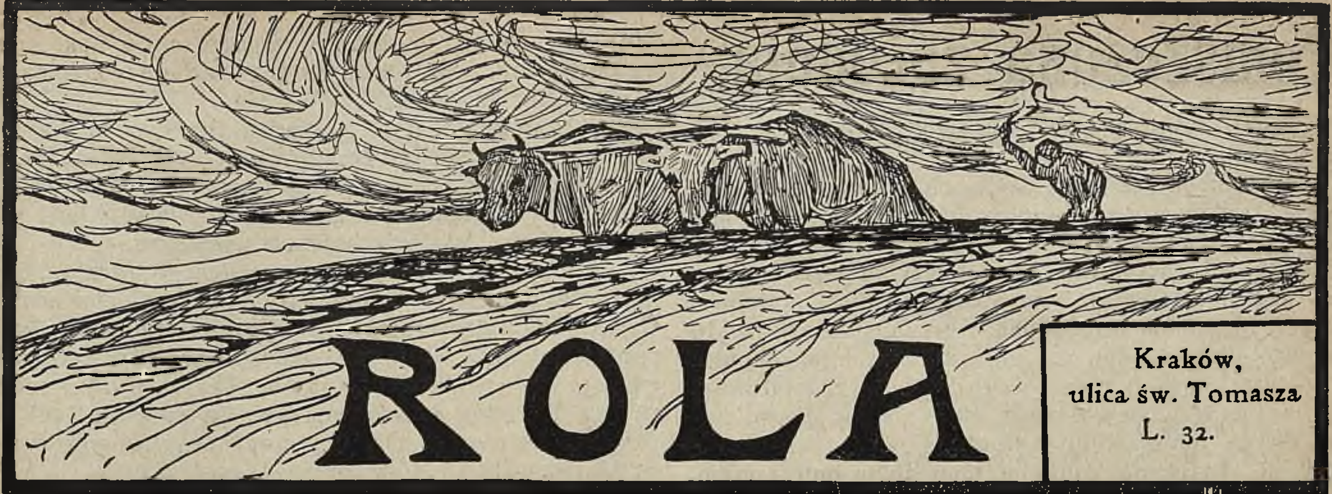
— Komu z gości nie podobało się przedstawienie, niech się zgłosi po wstępne, które zapłacił. Wypłaca się w biurze, do którego wejść można przez klatkę z lwami.

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli“ wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I. i II-go kwartału po 2 zł. 60 gr. Prenumeta kwartału bieżącego kosztuje 3 zł. 40 gr.

Wszyscy Czytelnicy prenumerujący „Rolę“ jak również kupujący w sklepach i agencjach mogą otrzymać numera brakujące po nadesłaniu 25 groszy za każdy numer, należytość można nadsyłać też w listach znaczkami pocztowymi.

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja“: Nr... nie otrzymałem i swój adres.

Numer 37. Rok X. Kraków, dnia 11 Września 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Wesołość życia.

Człowiek staje się w tym stosunku sam szczęśliwy, w jakim szczęścia drugiemu przysparza. Uprzejmość jego wywołuje uprzejmość innych. Przyjazne słowa — powiada jeden z filozofów angielskich — nie więcej kosztują od przykrych, a przecież pociągają za sobą przyjacielskie uczynki i to nietylko ze strony tych, do których są skierowane, ale i ze strony tych, którzy je wymawiają. Zdarzyć się może, że dobry jakiś czyn nie posłuży temu, któremu się chciało zrobić najlepiej, ale jeżeli był dobrze obmyślany, to musi temu przynieść korzyść, który go spełnił.

Dobre i uprzejme obejście może otrzymać w odpowiedzi niegodne i niewdzięczne, ale taka niewdzięczność nie zaszkodzi zadowoleniu, jakie się odczuwa, i rzeczywiście posiew grzeczności możemy małym kosztem rozszerzać naokoło. Nieraz padnie on na grunt dobry i wyrośnie w duszy innych jako dobroć, każdy zaś, z którego piersi posiew ten pochodzi, zbierze niezawodnie owoc szczęścia. Każda cnota pobłogosławioną będzie raz przynajmniej, a czasami i dwa razy.

Opowiadają o małej dziewczynce, którą każdy polubić musiał, kto ją tylko poznał. Raz ktoś jej zapytał:

— Dlaczego cię tak wszyscy kochają?

— Zapewne dlatego — odpowiedziała — że i ja wszystkich kocham.

To małe zdarzenie da się zastosować bardzo szeroko, ponieważ nasze czysto ludzkie szczęście stoi w stosunku do liczby tych, których my kochamy i którzy nas kochają. Największe światowe powodzenie, choćby najzacniej zdobyte, mało się stosunkowo do szczęścia przyczyni, jeżeli mu nie towarzyszy żywe współczucie dla każdej ludzkiej istoty.

Istotnie, uprzejmość to w świecie największa potęga. Surowość nie ma w sobie ani połowy tej siły, co łagodność. Przychylnością najłatwiej się ludźmi rządzi. Francuskie przysłowie powiada: „Ludzi łapie się na dobroć“, a angielskie powtarza to samo grubszemi słowy: „Na miód łapie się więcej os, niż na ocet“. Każdy dobry uczynek jest istotnie wykonaniem władzy i odłożonym kapitałem przyjaźni. Dlaczegożby potęga i władza nie miały się opierać na wywoływaniu radości a nie bólu?

Nie w podarunkach objawia się przychylność, ale w dobroci i szlachetności ducha. Można pieniądze, pochodzące z kalety, rozdawać, ale uprzejmość, pochodzącą z serca, przy sobie zatrzymać. Przychylność, objawiająca się dawaniem pieniędzy, nie wiele znaczy, a często sprawia tyle złego co i dobrego, ale przychylność czyli prawdziwe współczucie z dobrze obmyślaną pomocą zawsze dobre wyda owoce.

Uprzejmi i życzliwi ludzie są ludźmi czynnymi w świecie, gdy przeciwnie egoiści, którzy tylko sami siebie kochają, są próżniakami. Człowiek, który nie idzie w świat z sercem otwartem dla bliźnich, i sam dla siebie nic w życiu nie uzyska.

Samolub, ciągle sobą zajęty, niema dla innych czasu, wszystko ściąga do siebie i tak długo sobą się lubuje i nad sobą zastanawia, że jego małe „ja“ staje się jego małym bogiem.

Najgorszymi ludźmi na świecie są czarnowidzący i oskarżyciele szczęścia, dla których wszystko jest złe, a sami nie starają się nic dobrego bliźnim uczynić.

Zdarzają się u ludzi skłonności do niezadowolenia z każdej rzeczy, a skłonności te z czasem przeradzają się w nieuleczalną chorobę. Kto zawsze bywa w złym humorze, wszystko widzi czarno, a przez to unieszczęśliwia innych i sam staje się wkońcu nieszczęśliwy.

Nie pokonywa się nieszczęścia uprzedzaniem go. Nosząc ze sobą ciężar niezadowolenia bezustannie, czujemy się przygnieceni do ziemi. Życie nie jest tak złe, jak się nam wydaje, ale nie trzeba nań czarno patrzeć, lecz odnosić się do niego z wesołością.

Pomszczona zbrodnia.

Powieść histor. z czasów Krzyżackich.

Zbrojni rycerze otoczyli ich wkoło, a Konrad Leskau z niepokojem zauważył te złowrogie ich spojrzenia, które były skierowane na niego i towarzyszów. Pobieżnie tylko patrząc przekonał się, że pomiędzy tymi zwolennikami i poddanymi komtura niema ani jednego przyjaciela. Nie było pomiędzy nimi nikogo z tych, którzy mu na zamku malborskim ściskali ręce i dzięki składali za ofiarność, z jaką zagrożonemu zakonowi sprowadzić chciał pomoc. To go zaniepokoiło i smutne go ogarnęło przeczucie, że zbyteczne zaufanie jego było nierozsądne, a mądra była podejrzliwość Huxera. Niczem jednakże nie zdradził swego poruszenia, tylko godny zachował spokój.

— Na Boga — zawołał komtur triumfująco — cieszy mię, że przybyliście, panie Konradzie! I przyjaciół waszych, obydwóch rajców, którzy mi swoim oporem tyle szkody i gniewu byli powodem, witam z niekłamaną radością! Czyż wiecie wy, arcymądrzy panowie obywatele Gdańska, że ja się bardzo mało troszczę o rozporządzenia wielkiego mistrza w Malborgu? Ja tu jestem panem i mistrzem, i oświadczam wam, że nadszedł dzień zemsty! Tak jest, przy tym bankiecie, dla dobra świętego Zakonu w krwi waszej utopiony będzie duch wasz buntowniczy! Tego zdania są też wszyscy rycerze mego komturostwa!

Dziki okrzyk zgromadzonego rycerstwa i szczęk broni był przytakującą odpowiedzią na te słowa.

— Słyszycie, buntownicy! — ciągnął dalej komtur z widocznem zadowoleniem. — Słyszeliście wasz wyrok śmierci, a z tą śmiercią waszą skończą się też wszystkie tak zwane swobody i przywileje Gdańska!

— Niech się dzieje wola Boża! — rzekł burmistrz z rezygnacją. — Protestuję przeciwko gwałtom, zadanym mnie i panom; jestto bezprawie karygodne w oczach Boga i ludzi!

— Tak jest, protestujemy! — zawołał Andrzej Hecht i Bartłomiej Grosse. — Jeżeli tu podstępnie będziemy zabici, niech przekleństwo Boże i zemsta prawa spadnie na głowę morderców!

— Amen, niech tak będzie! — dodał Konrad Leskau. — A więc rycerze zakonni już się nie wzdrygają przed krwawemi zbrodniami? Gwałcą święte prawo gościnności! Pod obłudnym pozorem przyjaźni zapraszają spokojnych ludzi na ucztę, aby ich zamordować! Gorsi oni od wilków i tygrysów!

— Głupie gadanie! — zawołał komtur rozwścieklony — jak gdyby każden środek nie był dobry, aby zbrodniczych buntowników uczynić nieszkodliwymi!

— Nie jestem buntownikiem — odparł burmistrz. — Było to moim obowiązkiem, bronić swobód i przywilejów miasta przeciwko gwałtom zakonu, który przed laty bezprawnie i gwałtem miasto Gdańsk pod swoje panowanie zagrabił. Dopuściliście się, komturze, wiele niegodziwości i gwałtów, przeciwko nim walczyłem, a to było moim obowiązkiem!

— Patrzcie, ten zatwardziały buntownik chełpi się jeszcze ze swoich zbrodni!

— Zdaje się, że zarzut zbrodni wam się należy, a nie nam, którzyśmy zawsze prawą szli drogą. Hańba i wstyd! Zakonni rycerze chcą podstępnie zamordować tego męża, który zeszłego roku zakon od upadku uratował!

— Nie róbcie tyle hałasu o to, o czem się mówić wcale nie opłaci. Każdy ciura byłby z takim samym skutkiem podjął się tej misji i tylko prostoduszność wielkiego mistrza wbiła wam ten klin w głowę, że jesteście wybawcą zakonu.

— Czyż tu niema żadnego zacnego rycerza, któryby świadectwo wielkiego mistrza potwierdził? Czyż tylko łotrów macie w waszem otoczeniu, komturze? łotrów radujących się z tego, gdy kłamstwo nad prawdą odnosi triumf? Żądam, aby wielki mistrz i wielcy komturowie w tej sprawie byli sędziami! Domagam się, aby nas stawiono przed sąd w Malborgu!

— Musiałbym być głupim! — zawołał komtur z szyderczym śmiechem. — Nie, dla gdańskich byczych łbów najlepszy jest proces najkrótszy. Dalej, podnieście zasłonę! Patrzcie!

Czerwona zasłona w końcu sali bankietowej usunęła się na obie strony, a trzem dygnitarzom gdańskim okropny przedstawił się widok.

Było tam za zasłoną wzniesione małe rusztowanie, na którem stał pieniek, używany przy traceniu przestępców. Mężczyzna atletycznej budowy z gęstą czarną brodą, czerwono ubrany, stał opodal, trzymając w ręku błyszczący topór.

Był to kat z Elbląga, którego komtur przed dwoma dniami potajemnie był sprowadził do zamku.

Konrad Leskau okropnym wzrokiem zmierzył tyrana. Potem odwrócił się i rzekł do towarzyszów swoich te przez kronikarzy przytoczone słowa:

— Widzicie, co nas czeka, kochani przyjaciele. Gdybym teraz dobry miecz miał w ręku, chętniebym zań tysiąc złotych był dłużnym!

Chciał on przez to niezawodnie wyrazić, że byłoby dla niego największą satysfakcją, gdyby miecz ten utopić mógł w łonie komtura.

— Boże, bądź mi litościw! — rzekli rajcy, żegnając się. — Boże, ulituj się nad żonami i dziećmi naszemi! Teraz widzimy, żeśmy zginęli!

— Precz z buntowniczymi łotrami na rusztowanie! — ryknął komtur.

Zbrojne jego pachołki brutalnie napadli nieszczęśliwych i zawlekli ich na rusztowanie.

— Dalej, kacie, spełnij twą powinność! Odebrałeś naprzód trzy czerwone złote. Otrzymasz jeszcze trzy, gdy zetniesz te trzy łby buntownicze.

— Dostojny Panie! — odpowiedział kat — znam ja tych trzech panów. Jeden z nich jest burmistrzem Gdańska, Konrad Leskau, a ci drudzy są rajcy miasta: Arend Hecht i Bartłomiej Grosse.

— No, a tobie co do tego? Nie masz innego obowiązku, tylko łby im poucinać. Reszta do mnie należy.

— Ci panowie nie należą do jurysdykcji (zakresu działania) komturostwa, a wy jako komtur nie macie prawa skazywać ich na ścięcie. Jeżeli są karygodnymi, natenczas podpadają pod sąd miasta Gdańska.

— Mnie się zdaje, człowieku, że ty śmiesz opór stawiać mojemu rozkazowi! — krzyknął komtur rozwścieklony tą niespodzianą przeszkodą.

— Tak jest, wzbraniam się! — zawołał kat odważnie. — Nie jestem mordercą i też nie mam obowiązku pozbawiać kogoś życia, któryby poprzednio prawnym wyrokiem prawowitej swej władzy nie był na śmierć skazany. Gdy mię nocą z Elbląga

sprowadziliście, powiedzieli wysłańcy wasi, że w komturostwie mam tracić zbrodniarzy. Ale ci panowie z Gdańska nie są zbrodniarzami, ani też nie podlegają waszemu sądowi.

— Nie chcesz więc, łotrze, być posłusznym?

— Nie! Zamordowanie tych zacnych panów sprzeciwiałoby się mojemu sumieniowi.

— Prawy człowieku! — zawołał Konrad Leskau. — Zaprawdą, kat jest jedynym uczciwym człowiekiem w tem zgromadzeniu zbójeckiem!

— Nędzny oprawco! — zawył komtur. Pokażę ci, co to znaczy, sprzeciwiać się moim rozkazom! Precz z nim! Zamknijcie go tymczasem do turmy!

Natychmiast przypadło kilku halabardzistów, związało kata i wywlekło go z sali.

— Nasamprzód zasiędziemy do uczty, moi zacni rycerze — odezwał się następnie tyran. — Gdy się uraczymy jadłem i napitkiem, naradzimy się, w jaki sposób najlepiej te gdańskie byki na drugi świat wyprawić. Tymczasem włóżcie im kajdany i trzymajcie pod ścisłą strażą.

I ten rozkaz wykonano bezzwłocznie. Założono burmistrzowi i obydwom rajcom kajdany, zaprowadzono ich do sąsiedniej komnaty i tam ich strzeżono.

Następnie zasiadł komtur z rycerzami swymi do stołu, na którym najwykwintniejsze pojawiały się potrawy i najwyborniejsze lało się wino. Dzika rozpoczęła się biesiada, i zdawało się, że ogniste wino, które strumieniami w swe gardła wlewali, podsycało jeszcze krwiożerczy ich zapał. Gdy w tem okrutnem byli usposobieniu, rozkazał komtur wśród śmiechu, aby wprowadzono burmistrza do sali.

Służbiści trabanci pobiegli do komnaty i wprowadzili skrępowanego patrjotę.

— A więc niech mu djabli pobłogosławią ucztę, na którą był zaproszony! — ryczał dziki tyran. — Dalej, mężni rycerze, zabijcie tego psa!

Z wyciem i rykiem bydlęcym rzucili się pijani rycerze na nieszczęśliwego, uderzając i żgając bez litości. Konrad Leskau upadł na ziemię, tarzał się w krwi na kobiercu i przeklinając morderców swych, ducha wyzionął.

Następnie wprowadzono Arenda Hechta i Bartłomieja Grossego i w ten sam sposób okrutnie zamordowano. I oni przeklinali morderców swych, zanim wyzionęli ducha.

Skrwawione trupy kazał komtur wrzucić do sklepu, a służbie pod karą śmierci zakazał wspominać o tem zajściu.

Potem mordercy na nowo zasiedli do stołu i biesiadowali i hulali aż do późnej nocy.

Około północy przypomniało się komturowi, że jeszcze ukarać winien nieposłusznego kata i klnąc rozkazał przyprowadzić go do sali.

Służba pobiegła natychmiast do stróża turmy, ale po chwili powróciła przerażona, oznajmując, że stróża nigdzie odszukać nie można i że tenże prawdopodobnie uciekł razem z więźniem, bo i turma otwarta i pusta.

I tak też było w istocie. Stróż bowiem turmy i kat z Elbląga byli od samej młodości najszczerszymi przyjaciołmi. Stróż dopomógł przyjacielowi do ucieczki i sam razem z nim uciekł, aby ujść gniewu komtura.

Okropną w istocie była wściekłość tyrana, gdy się dowiedział, że mu zdobycz uszła. I znowu zaczęto hulać i pić, aż wreszcie znużenie morderców ogarnęło i jeden po drugim bez zmysłów runął na ziemię.

III.

Tidemann Huxer nadaremnie wieczorem wyczekiwał towarzyszów, i przyszedł do tego przekonania, że czarne jego przeczucie aż nadto było prawdziwe.

Jeszcze w nocy wysłał posłańców do reszty rajców, a przerażeni ojcowie miasta zaraz nazajutrz rychło z rana zebrali się na nadzwyczajne posiedzenie, aby się naradzić, co uczynić wypada.

Odmiennego zdania był stary Huxer, była większa część rajców, którzy sądzili, że Leskau, Hecht i Grosse najniezawodniej więźniami są komtura. Nie mogli oni tego pojąć, aby komtur tak daleko posunąć miał swoją zuchwałość i zamordował najdostojniejszych patrycjuszów miasta. To też zdanie powszechne było w całem mieście, a rodziny zamordowanych wierzyły temu, bo człowiek chętnie wierzy temu, czegoby sobie życzył.

Natychmiast wysłano deputację do Malborga, do wielkiego mistrza, aby zanieść zażalenie na doznany gwałt bezprzykładny.

Wielki mistrz wysłał też zaraz do komtura nakaz, aby niezwłocznie wypuścił nieprawnie więzionych obywateli.

Ale tyran śmiał się z tego rozkazu. Sam on przecież chciał sobie przywłaszczyć godność wielkiego mistrza, a wszelkie łotrostwo pomiędzy rycerzami liczył do swego stronnictwa.

Na ponowne żądanie obywateli wysłał wielki mistrz powtórny rozkaz. Wtenczas to komtur, dodając do gwałtu i okrucieństwa szyderstwo, kazał spiekłą krwią pokryte i w zgniliznę przechodzące już ciała zamordowanych wywlec ze sklepu i wyrzucić na plac przed zamkiem. To stało się we Wielką Sobotę.

Wielką była boleść i rozpacz obywateli, którzy przez czas pewien stali jakoby odurzeni, aż dziki krzyk złości i zemsty rozległ się po mieście, mianowicie, gdy żony i dzieci zamordowanych przybyły na miejsce, gdzie ciała leżały.

Komtur tymczasem stał na tarasie dachu swego zamku i szydził i drwił z płaczących. Ostatecznie zagroził, jeżeli lud natychmiast z ciałami się nie oddali, obsypie go gradem kul i kamieni ze swych armat.

Gniew i oburzenie wrzały w piersiach każdego obywatela Gdańska. Ale jakież dla nich słabych były widoki wygranej, przeciwko silnej i dobrze zbrojnej potędze tyrana, który od dawnego czasu nad tem pracował, aby miasto osłabić i z czasem zwolna zupełnie je ujarzmić?

Podjęto ciała i odniesiono do miasta. Nazajutrz w samą uroczystość Wielkiejnocy odbył się wspaniały pogrzeb przy współudziale całej ludności miasta. Ciała burmistrza Konrada Leskau'a, oraz obojga rajców, Arenda Hechta i Bartłomieja Grossego spoczywają w kaplicy św. Jadwigi po lewej stronie wielkiego ołtarza. Dziś jeszcze pokazują ich grobowiec, na którym napis łaciński w krótkości opisuje okoliczności tej strasznej zbrodni.

Ale obmierzły morderca i opryszki jego nie mieli ujść kary.

Wielki mistrz Henryk Reuss von Plauen, nie miał tyle władzy, aby mógł należycie ukarać zbrodniarza, jakkolwiek boleścią i oburzeniem był przejęty. Gdyby był chciał postąpić surowo, byłoby to doprowadziło niechybnie do rozdwojenia w zakonie, a na to nie zezwalały względy polityczne, mianowicie w tych czasach krytycznych, w których zakon

jeszcze się znajdował. Wezwano wprawdzie komtura Hugona von Thronek przed konwent w Malborgu, aby się usprawiedliwił, ale on nie był głupim i nie stawił się. Na tem się sprawa skończyła.

Tymczasem utworzyło się w Gdańsku tajne stowarzyszenie, złożone ze stu najodważniejszych obywateli, którzy tajny złożyli sąd, aby pomścić zbrodnię. Na czele tego stowarzyszenia stał stary rajca Tidemann Huxer.

Zawiązano stosunki ze służbą zamkową i pozyskano zapomocą przekupstwa niektórych poddanych komtura. Od nich to dowiadywali się dokładnie o planach i zamiarach tyrana.

W ten sposób dowiedziało się stowarzyszenie, że komtur w pewnym dniu urządza wielkie polowanie w sąsiednim lesie nad Wisłą. Najwierniejsi jego przyjaciele, ci właśnie, którzy udział brali w tem potrójnem morderstwie, mieli mu towarzyszyć. Łowy te trwać miały dwa dni, a w drewnianym domku, na ten cel w lesie zbudowanym, miano przenocować.

Ten dzień wyznaczył Tidemann Huxer i towarzysze na dzień odwetu i zemsty. Stary rajca wysłał zaufanego człowieka z tajnem poselstwem do Elbląga.

Przy najpiękniejszej pogodzie jesiennej wyruszył komtur wraz z dwudziestuczterema rycerzami w las nad Wisłą na łowy. Odgłos trąb i wrzawa napełniła wnet las cały, a niejeden pyszny jeleń, niejeden dzik potężny padł ofiarą tej zabawy. Wieczorem, gdy się ściemniło, zebrało się całe towarzystwo łowieckie w owym drewnianym domku. Tam spożyli rycerze sutą wieczerze, pili i hulali bez granic, wreszcie znużeni do snu się pokładli. Nazajutrz łowy na nowo rozpocząć się miały.

Tak zuchwałymi byli rycerze zakonni, tak bardzo gardzili obywatelami Gdańska, że nawet nie pomyśleli o tem, aby w nocy zarządzić jakiekolwiek środki ostrożności. Nie postawili straży.

W nocy otoczyło sto sprzysiężonych, uzbrojonych w miecze i sztylety, samotny domek w lesie. Zarazem wtargnęli drzwiami i oknami do wnętrza domku i okropną rzeź sprawili pomiędzy rozespanymi i opiłymi rycerzami. Wszystkich dwudziestu i czterech zbrodniarzy zamordowano, komtur zaś żywcem dostał się w ich ręce. Taki był rozkaz najwyższego sędziego, starego Tidemanna Huxera.

Zuchwale nasamprzód wykrzykiwał komtur i chciał przeciwników swoich ustraszyć groźbami. Ale gdy mu oświadczono, że jeszcze tylko dziesięć minut pozostaje mu czasu do życia, aby żałował za swe zbrodnie i na śmierć się przygotował, wtenczas to upadł na duchu i pokazało się, że ów łotr zatwardziały okrutnie bał się śmierci.

Ze związanemi rękoma i nogami siedział wśród sędziów, którzy go kołem otoczyli. Kilkanaście pochodni oświecało tę ponurą scenę.

Stary rajca powstał i uroczyście ogłosił, że wskutek uchwały tajnego sądu, komtur Hugo Thronek za zamordowanie burmistrza, Konrada Leskau i obojga rajców, Arenda Hechta i Bartłomieja Grossego, skazany jest na śmierć. Nasamprzód mają mu być obcięte obie ręce mordercze, następnie głowa.

Komtur jęczał przeraźliwie, ale nie wyrzekł słowa. Wiedział on niezawodnie, żeby mu to nic nie pomogło.

Następnie zapytał jeden ze sędziów, czyby nie trzeba skazanemu przyprowadzić spowiednika, któryby go na śmierć przygotował, ale Tidemann Huxer oświadczył, że z wykonaniem wyroku nie podobna tak długo czekać, ażby o kilka mil drogi sprowadzono kapłana.

Wszyscy to uznali i zaraz przywiedziono kata z Elbląga, którego dotąd sprowadzono, aby wypełnił krwawy i okropny swój obowiązek.

Gdy związany komtur w czerwono przybranym, czarnobrodym mężczyźnie poznał tego, który mu dawniej odmówił posłuszeństwa, zabłysnęła w czarnej jego duszy iskierka nadziei.

— Stój, kacie! — ochrypłym zawołał głosem — nie wolno ci przelewać mej krwi, bo nie jestem poddanym sądowi obywateli Gdańska! Przypomnij sobie, że w takiem samem położeniu wzbraniałeś się w komturostwie ściąć tych, których ja na śmierć skazałem! Tam był powód zupełnie ten sam!

Kat rozśmiał się.

— Tu rzecz się ma zupełnie inaczej, komturze — odrzekł flegmatycznie. — Ci, których ty skazałeś na śmierć, byli ludzie zacni i prawi, a sumienie nie pozwalało mi ich krwi przelewać. Ale ty jesteś podłym zbójem i mordercą, którego z przyjemnością wyprawię na drugi świat, bez względu na to, czy jesteś poddanym sądowi Gdańska, czy nie. Wszakże ja sam z trudnością tylko uszedłem morderczej twej ręki! — Połóż tylko głowę na krzesło, a ręce na poręcz, łotrze, wtenczas wnet się uwiniemy!

Kilku sprzysiężonych przytrzymało opierającego się komtura, następnie kat podniósł topór i uciął mu nasamprzód lewą, potem prawą rękę, przyczem komtur okropny krzyk wydał boleści. Poraz trzeci zabłysnął topór w świetle pochodni i spadł z głuchym łomotem. Głowa komtura daleko potoczyła się po posadzce.

Pomiędzy sprzysiężonymi powstał szmer zadowolenia, a stary Tidemann Huxer rzucił katowi worek z pięćdziesięcioma czerwonymi złotymi.

Następnie wszyscy wyszli z domku i wrzucili do niego swe pochodnie. Niezadługo dom, zapełniony trupami, cały stał w płomieniach.

Sprzysiężeni rozeszli się do domów, zobowiązawszy się nawzajem do grobowego milczenia o tym akcie dokonanej zemsty.

W ten sposób zakończył życie łotrowskie komtur Hugo Thronek. Zwolennicy jego przerazili się niezmiernie, dowiedziawszy się o jego śmierci, a wielki mistrz skorzystał z tej sposobności, aby zająć komturostwo. Nie myślał wcale ścigać członków tajnego sądu, którzy mu właściwie niemałą wyświadczyli przysługę.

W następnym czasie zarząd komturostwa był dobry i Gdańszczanie byli z niego zupełnie zadowoleni. W roku 1466 utracił zakon większą część swoich posiadłości. Wtenczas i Gdańsk wrócił pod władzę króla polskiego.

KONIEC.

W niezgłębione jeziora źrenice...



W niezgłębione jeziora źrenice
Spoglądały wśród skał łyskawice
Gdy się wiły koło orlich gniazd;
W toń spozierał orzeł bystrooki,
Księżyc patrzał z nad czarnej opoki
I rój kędyś spadających gwiazd.
W niezgłębione jeziora źrenice
Mgieł patrzyły złudne pląsawice,
Które w tan wiódł niewidzialny wiatr,
A niedawno, raz jeden, jedyny,
Człowiek spojrzał w jeziora głębiny
Człek w nie spojrzał, kędyś z szczytu Tatr...

M. Gotkiewicz.

PRZED POLOWANIEM.



Dawniej ziemia nasza pokryta była ogromnemi lasami, to też w nich mnożyły się całe gromady zwierza najróżnorodniejszego, żyły sobie po największej części spokojnie, a przybywało ich z każdym rokiem tyle, że zdawało się, iż przepełnią te nieprzebyte bory i rozprysną się po uprawnych polach, niosąc za sobą niepożądane spustoszenie. Z czasem ręka ludzka trzebiła lasy, przemieniając je w uprawne pola. Dla dzikich zwierząt poczynało brakować miejsca, gdyż coraz bardziej musiała się ścieśniać i swe tereny ograniczać. A na jej nieszczęście i człowiek miał do niej łatwiejszy przystęp. A że posiadała po największej części smaczne mięso, więc też i niebezpieczeństwo dla niej było coraz większe. A zwiększyło się jeszcze z chwilą, gdy wynaleziono broń palną.

Dawniej człowiek szedł na polowanie z oszczepem, robił zasieki, zastawiał sidła, kopał doły, w które wpadała zwierzyna, a on ją żywcem brał. Wówczas dla zwierząt walka z człowiekiem nie była zbyt trudna.

Gdy jednak wynaleziono broń, zmieniło się wszystko na niekorzyść biednego stworzenia. Oto myśliwiec nabijał strzelbę, stawał sobie lub siadał spokojnie obok drzewa i czekał spokojnie na nieostrożną ofiarę swych zabójczych zamiarów. Zwierzę, nie przeczuwając nic złego, pląsało po lesie, wesołe i szczęśliwe. Aż tu jeden ruch palca, jedno pociągnięcie cyngla i ofiara przypłacała swą nieostrożność życiem.

Zwierzątka stawały się coraz ostrożniejsze i coraz trudniej przychodziło człowiekowi podejść je i pozbawić niespostrzeżenie życia. Ale od czegóż miał rozum? Nie mogąc sam w pojedynkę dopiąć swoich zwierzobójczych celów, wychodził na zwierzynę gromadami, biorąc sobie jeszcze do pomocy psy, które miały płoszyć i napędzać mieszkańców lasu. Począł urządzać polowania, w których niejednokrotnie śmierć ponosiło dziesiątki niewinnych stworzeń.

Obrazek nasz malowany przez sławnego artystę malarza Józefa Brandta, przedstawia właśnie taką wyprawę na polowanie. Myśliwi wybrali się w dalsze okolice, gdzie zwierzyny było wbród. Po dłuższej drodze postanowili odpocząć i zajechali pod wiejską chatę. Jedni pozsiadali z koni, aby poprosić może o posiłek lub kubek wody, inni trzymają psy na smyczy, a wszyscy nabierają sił, aby za chwilę pójść i mordować bezbronną zwierzynę. Ot nawet jeden z nich już po drodze upolował jakiegoś „gada“, przytroczył go do siodła i z zadowoleniem zapala sobie fajeczkę, udając ogromnego bohatera.



MACIEK BZDURA GADA:

Powiadają niktórzy ludzie, że im kto wieksiejsy urząd zajmuje w świecie, to mu jest lepiej, jest scęśliwsy i kuntetniejsy. A ja powiadam, ze to wszyćko bujda i nieprawda.

Dajmy na to, jak pójdzie gróbarz do karcmy i tam się uchla, to choć to nieładnie i jegomość go za to spyskują, ale wobec całego katolickiego świata jakosik mu to ujdzie, bo to przecie ino gróbarz. Ale jakby posed do karcmy sam pan organista, a juz co nie daj Boże pan prefesur, i tam się urznął do nieprzyzwoitości, to nietylko jegomość sprawiliby mu pucówkę, ale i wszyscy ludzie pyskowaliby od ucha do ucha. A jakby tak, Boże odpuść, pośli se jegomość na jednego, to nawet wszyćkie świnie we wsi kwicałyby na takie zberezieństwo.

La organisty, zeby się uświnić, to wieś się nie nadaje, ale musi bidacysko choćby do powiatowego miasta się wlec i tam dopiero jako tako moze sobie ducha pokrzepić. Ale w tem samem mieście prefesurowi jesce to nie uchodzi. On musi sukać jesce większego miasta i nietylko na pokrzepienie, ale i na drogę pieniądze tracić. A jegomości to tylko w takiem mieście wolno se garło odwilzyć, w którem siedzi biskup. A do biskupa przecie codzień jeździć nie można.

I tak we wszyćkiem! Mnie to naprzykład wolno pośpasować nietylko z Kaśką, ale i z Maryśką, i z Magdą, i z Baśką i wszyćkiemi spodnicastemi stworzeniami. Ale niechby popróbowali zrobić to mój gospodarz, toby zaraz cała wieś o tem wiedziała, bo zarazby ich wszyćkie rózańcowe i nirózańcowe Jadwigi na swe ozory wzięły i takby niemi obracały, zeby się im bebechy z brzucha wytarabaniły. A jakby tak prefesur odezwał się po ludzku do jakiej dziopy lub mężatki, a juz Boże odpuść do gdowy, toby wam się dopiero zastrzęsły wszyćkie babskie jadacki, zeby wiatr od nich powstał na styry mile. Coby to było gadania i przeinacania wszyćkiego! A on to, a on tamto, a on tak, a on siak, a on tędy, a on tamtędy i tak w kółko, choćby prefesur do owej niewiasty nic innego nie rzekł, ino: „Pochwalony Jezus Chrystus!" A niechby się tak nie przymirzając do niej oześmiał, toby pewnikiem na jego intencję połowa babskiego rodzaju zaraz na drugi dzień do świętej spowiedzi posła. I nie myślcie sobie, zeby to robiły z jakiejś poboznośći, albo la tego, zeby złe odwrócić, ino z prostej zazdrości, ze się prefesur do tamtej uśmichnął, abo na tamtą popatrzył, a nie na nią. Bo trza wiedzieć, ze u wszelkiego rodzaju niewieściego ponad wszyćkiem góruje zazdrość. I jesce jak ta zazdrość pochodzi od rodzącej baby, to tam jesce ujdzie, ale obcej co do tego, jak tam kto, gdzie i co. Powinna sobie pysk na kłódkę stulić i swoich garcków pilnować, a nie interesować się cudzemi sprawami. Od tego jegomość, od tego ksiądz biskup i od tego Ojciec święty.

A weźmy na to takie chodzenie. Ja mogę se wyjść nie ino na pole, ale nawet do kościoła i do miasta, boso, w samych portcętach i kosulinie, z gołą łepetą. Niechby tak popróbował to zrobić prefesur, abo jegomość, abo pan dziedzic! Pewnikiem wszyćkie bachory z całej Psiej Wólki gnałyby za niem od świtania do nocy, a nazajutrz wiedziałaby o tem cała Europa i połowa Hameryki. Bo co wolno mnie, to nie wolno prefesurowi, a co wolno prefesurowi, to nie wolno dziedzicowi i tak dalej. A przeciwnie: co nie wolno dziedzicowi, to wolno prefesurowi, a co wolno prefesurowi, to wolno i mnie. Cyli inacej: mnie wolno robić to wszyćko, co i insem ludziom, a insem ludziom nie wolno robić tego, co mnie wolno. A im komu więcej wolno robić na świecie, ten musi być scęśliwsy. A ponieważ mnie wszyćko wolno, więc la tego jabym był najscęśliwsy na świecie, bylem ino miał więcej pieniędzy, zeby to wszyćko było za co robić.

Niktórem ludziom zdaje się, ze pan minister jest najscęśliwsem z ludzi, bo on i pieniędzy ma dość i moze wszyćkiem rozkazywać, a wszyscy go słuchać musą. Bujda to wszyćko! Co do pieniędzy, to ta moze i tak, ale co do rozkazywania, to mi się nie widzi! Niechby taki minister próbował co kazować mojej gospodyni!... Ślipiaby mu do imienia wydarła, a nie zrobiłaby tego, coby jej kazał. A i co do insych scęśliwości, to mi się widzi, ze nawet minister nima ich tyle, co ja ich mieć mogę. Cy który minister gadał kiedy z Baśką od wójta? Prawda, ze nie! A ja gadam z nią prawie codziennie i ile razy chcę, to ją uscypnąć mogę. A cy ministrowie jadajom pirogi ze syrem? Takze nie. A ja, choć co prawda ino raz na rok około świętego Jacka, ale ich zjadam za cały rok przeszło pół kopy. I tak zreśtą ze wszyćkiem! La tego tez ja padam, ze im kto większy urząd zajmuje, ten większym jest kryminalnikiem, bo mu tem więcej rzecy robić nie wolno, i to takich rzecy, które taki Maciek, jak za przeproseniem ja, bez wszyćkiego ile razy chce, robić moze. La tego tez widzi mi się, ze ja i tacy, jak ja, to najscęśliwsi ludzie na świecie.



Serc ludzkich rola jest żyzna.

Serc ludzkich rola żyzna i plenna,
Jak ten czarnoziem zorany,
Niech tylko praca nie będzie najemna
I siewca, roli, nie znany.

Jak na zoranej w jesieni glebie,
Na obumarcie rzuca chłop ziarno,
Tak ci i w zycia ludzkiej potrzebie,
Nie wszyscy siewcy plon zgarną.

Nie żałuj ziarna na siew czystego,
Nie żałuj orki ochotnej,
Bo w obumarciu ziarna pszennego
Nadzieja na plon stokrotny.

Serca są nasze jak rola żyzna,
Łakną wciąż siewu i żniwa,
Gdy siewcą Bóg będzie, ziarnem Ojczyzna
O to żniw pora będzie szczęśliwa.

Serca ludzkie jak żyzna rola...
Tylko uprawiać i siać trza umieć...
Lecz siew słów, miłość i wolna wola,
Musi krew karmić, a pot rozumieć.

Józef Kapuściński

UCIECZKA ARCHANIOŁA

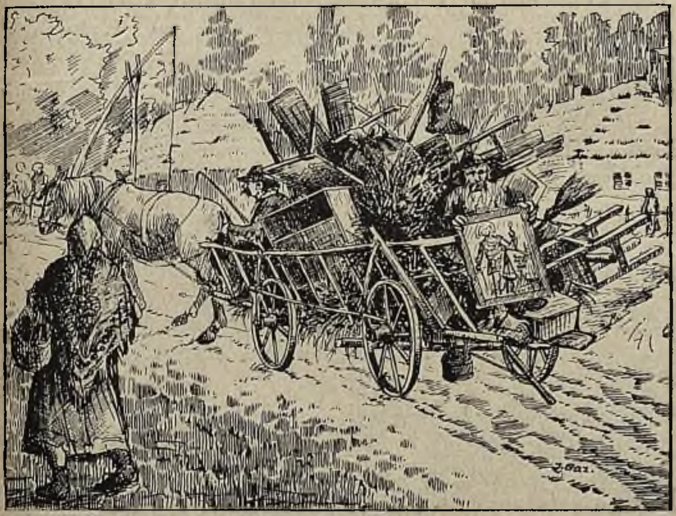
Powieść współczesna.

W domu nastał nowy dzień kłótni, krzyków i obrazy boskiej. Sądny dzień.

Echa dochodzą aż do drugich chat.

Nie o byle co chodzi: dziadek został złodziejem. Przysięga wydała wyrok.

Białe, już nawet nie siwe, włosy spadają na kark pochylony; ręce drżą; oczy w zaziemskie zapatrzone już zorze i w nowe krainy bytu, w nowe kresy wędrówki, ślą od siebie jakiś mdły blask odległego życia — minionej rzeczywistości, która prawie że już przewróciła swą kartę i wychyliła swą czarę do dna. Ugina się stary Jędrzej, jak powiędły



Ucieczka Archanioła.

badyl, gdy na niego jesienna siekawica uderzy, lub dziewka stajenna pełen ceber pomyj wyleje. Ugina się, lecz jeszcze nie rozumie dokładnie, o co chodzi. Chyba go uszy mylą... Czyżby? O losie!

Ależ nie, musiał się przesłuchać... Bo... patrzcie ludzie: na stare lata? Na stare lata złodziejem? Chryste Panie!

Okropne słowo zatkało mu oczy, krtań zagwoździło jakby setnym bretnalem, że słowa nie mógł wydobyć — już nie na obronę, ale na wyrażenie zdziwienia. Rozpada się to, co nazywał światem, a jego miejsce zajmuje żarłoczna, obrzydliwa topiel. Znikąd ratunku ni pociechy. Niema innego wyjścia, jak tylko pozostać... no, bretnalu, ustąp się! — złodziejem.

Wiatr porwał te słowa i niesie z największą lubością, jako nową senzację dnia. Niech się zachmurzą doliny, niech się zrumienią pagórki! Dziadek wziął konicz i wyniósł do swej córki, Hanki. Rozumie się — nie mogło być inaczej, kiedy tak orzekły miarodajne osobistości.

Chichocąc, wiatr pędzi w obojętną przestrzeń, i arogancko bije po twarzach.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

W kilka dni potem stanęła przed domem Tomka fura, zaprzężona we dwójkę.

Do izby wpadła zdyszana Hanka i, nie oglądając się wcale, nie pozdrawiając nikogo, w napęczenieniu wzburzonej furji — skierowała się wprost do „alkierza“ dziadka.

— Zdrowiście! — wymówiła, hamując się w gardle. Poczem, ucałowawszy Jędrzeja w rękę, jak wściekła lwica, rzuciła się na niezasłane łóżko, ściągając w największem napięciu nerwów pościel i ładując ją w jeden toboł, owinięty w prześcieradło.

— Ale... ale, Hanka!

Nie słuchała. Zdzierała wszystko, co tylko napotkała wkoło siebie: pościel z łóżka, koszulę z kołka na ścianie, kamizelkę i spodnie z za pieca, ubranie z szafy; pogrzebaczem wywlekła buty z za skrzyni, oraz grube onuce i szmaty do owijania bolącej nogi.

— Bój się Boga, Hanka!... Co ty robisz?

Ani się oglądnęła. Jak rozwścieczona pantera, nie zważając na nic, patrzała po wszystkich kątach, czy jeszcze coś gdzie nie zostało. Więcej nic ją nie obchodziło. Z pewnością nie słyszała nawet głosu swego starego ojca. Tylko oczy szkliły się jej dziwnie nienaturalnym błyskiem. Gdy węzeł był pełny, wywlokła go sama przez izbę na wóz, stojący przed oknami. Następnie zjawiła się z parobkiem.

— Tato, cofcie się!...

I zanim ten zdążył się zorjentować w sytuacji, już łóżko było rozebrane.

— Pietrek, masz, nieś boki, a ja wezmę deski ze spodu. Przyjdziesz jeszcze po skrzynię i szafę.

Dziadek stał, nie wiedząc, co począć i co wogóle myśleć.

— Hanka! przecie ja tu chcę umrzeć, tu moja ojcowizna...

— Złodziejem chcecie umrzeć, między złodziejami? Na nic. Na to nie pozwolę, ja, wasza córka. Przepadła wasza ojcowizna: tu są ludzie nowi, z którymi wy żyć nie potraficie. Mają was wygnać, to lepiej, że sama was zabiorę. U nas jest miejsca dosyć: izba duża, dziecek mniej. Jedzenia też nie braknie — nie bójcie się! Mleka również jest dosyć, bo krowy się już należycie wypasły na tym koniczu, coście przynieśli. Pewnieście nie widzieli... Urósł — tak po pas. Pomożecie jeszcze grabić i zwozić, bo tyle tego, że nie damy sami rady. Udarzył się... Nie dziwota — kradziony.

Mówiła w podnieceniu, czując, że za ścianą słuchają wszyscy.

— No, ale chodźmy! Wszystko już zabrane? O, widzicie — obrazy jeszcze! Bolesna, święty Michał... wasze przecie... A teraz chodźcie!

Ani się Jędrzej spostrzegł, kiedy się znalazł na furze. Skoro jako tako zaczął pojmować całość rzeczy, już siedział na wozie, skaczącym po wyboistściach nieszczególnej drogi. Za nim piętrzyła się góra przeróżnego gatunku tobołów, przeróżnych rzeczy, czasem dosyć wątpliwej wartości. W samym tyle trzęsła się załzawiona Bolesna i Michał z potężną wagą w ręku oraz głośną trąbą archanielską.

A uśmiechnięty z politowania — Michał trąbił zgrzytem kół i tarciem o nierówne podłoże ziemi. Tej samej ziemi, na którą z wyżyn nieba zepchał ongiś szatanów, walkę, przemoc, podłotę, słowem — całe piekło.

Dzieci, stojące w opłotkach i przypatrujące się podróżnym, najwięcej zwróciły uwagi na spiętrzony magazyn przeróżnych rupieci.

— Widzisz, Jantek, żeby ten but nie był przywiązany do drugiego, toby spadł.

— Bez tego zleci... niech się ino tak trochę pomyrda.

— Ciewy?... obrazy też wiezą... Że się jeszcze nie potrzaskały...

— Co to za anioł z trąbą?

— Na wojnę trąbi, jak jaki żołnierz.

— A ja wam powiem, że on z wojny ucieka i daje znaki, aby się do niego gromadzili, co jeszcze żyją.

— Jakiśta mądry, Marcin!... he, he!

— A co, nie widzieliście, jak z wojny uciekają? Nie pamiętacie, jak Moskale gnali z pod Limanowy, że aż się kurzyło za nimi?

— Uciekać — uciekali... nawet tak samo bez poskładu na wozach.

— Oj, do czego to doszło: nawet święci muszą uciekać — śmiali się chłopcy.

— Wszędzie jednakie porządki — jak widać.

— Ja wam powiem, że ten święty to takućki jak we wielkim ołtarzu.

— Toby był Michał Archanioł w takim razie; ten, co djabłów zeprał na kwaśne jabłko.

— Ten, ten! Teraz pewnie jedzie na nową wojnę; ciekawość — z kim?

— Żeby tak ciebie przegrzmocił, bo za wiele zbytkujesz.

— A ty dużoś lepszy?

— Przynajmniej podkładków matce nie zbieram jak ty.

— Widziałeś, zyzaku? Lepiej sobie ślypia popraw, bo patrzysz bokiem jak jaki zbój.

— Dobre podkładki? dużoś dostał za nie?

— Żal ci, że ty nie możesz wziąć, boś sam taki jak podkładek... Jeszcze cię kura nie odsiedziała.

— Kieś ty taki odsiędzony, to się spróbujmy!

— Myślisz, że cie się zlęknę?... no chodź!

Złapali się za czuby, jak dwa podpierzone koguty. Reszta stała spokojnie i przyglądała się z filozoficznem skupieniem, czekając wyniku. Nikt nie chciał zawcześnie ukazywać swej sympatji — ta bowiem należała do zwycięzcy.

— Trzymaj się!...

— Nie daj się, Walek!...

Tymczasem Archanioł jechał sobie najspokojniej na pokracznym wozie, uderzając raz po raz tylko nosem o szkło.

VI.

W domu Tomka zrobiła się dziwna cisza, nieokreślonego pokroju. Któż temu winien? Co się stało? Z ciekawości podeszła Zośka do progu izdebki dziadkowej. Aż się cofła... jakby ją coś owiało. Jednak się przemogła i weszła.

W izbie wyglądało tak w zupełności, jak po inwazji całej hordy nieprzyjaciół z wandalskiej czeredy: na podłodze pełno słomy, śmiecia przeróżnego, ściany gołe, gdzieniegdzie ozdobione makatą wielobocznej pajęczyny, kąty ziejące niemiłą wonią stęchlizny, chłodu i pustki, dyszącej nieprzebłaganą złośliwością ironji.

Ha, ha! wygnaliście dziadka, własnego dziadka... Tu wyrósł, tu się wychował, życie strawił, tu każdą grudkę ziemi oblał swym potem, aby teraz, gdy już sił brakło, włos zbielał, gdy sam stał się prawie utępą — musiał uchodzić z rodzinnego gniazda jako wróg najgorszy. Wygnaliście! Czy wy chcecie się jeszcze ludźmi nazywać? Pytam się: ludźmi?

Zośka oglądnęła się trwożliwie. Coś, jakby z każdego kąta wyzierało i rzucało pełne dzikiego skowytu pytanie: ludźmi?

Ha, ha, ha!

Zośka przetarła oczy załzawione z przykrego nastroju — i wyszła, aby napotkać się z rozkazem matki:

— Trzeba „tam" posporządzać, bo wygląda, jak w chlewie; wnetby podłoga przegniła.

Po izbie kręcił się Franek, z miną wielce zafrasowaną, pomrukując zcicha:

— Trza, trza... trzeba posporządzać — a jušci. Jakżeby było... Trzeba zrobić porządek, o, trzeba!... Pogrzebacz wziąć, brzozowej miotły się chwycić — i zgarniać śmieci, stare łachmany, poniewierane graty i wynieść na śmietnisko... Poco to ma być tutaj utępą, zawadzać pod nogami, kiej tam jest miejsce na to. Niech sobie wiatr porwie, pohula; niech się raz ucieszy. Porządek trza zrobić, na to rady niema.

— Jeszcze ty dogaduj — wtrąciła rozstrojona Zośka. — Nie masz co innego do roboty...

— Iii... co mie tam... Bez tego wiem, co mię czeka — nie nowina. Przecie porządek musi być.

— Wszyscybyście docinali, żeby ino wam się dało — odparła matka, do której te aluzje były skierowane.

— Już ta nikt lepiej od was nie potrafi. Przez taką szkołę, jak wy, mało kto przechodzi. Mieliście szczęście nielada.

— Cóż to znowu? Cóż wy chcecie odemnie? Czy ja już zawsze mam być tą, na której się wszystko skrupia? Trzeba se i na Boga miarkować...

— Pewnie, że trzeba; musicie na dalej o tem pamiętać, bo nie wiecie, co was jeszcze może spotkać.

— O! tylko się ta o mnie nie kłopoc! Dziś mogę stanąć przed sądem boskim, dziś, zaraz, teraz. Na makowe ziarnko nikomu nie zakrzywdziłam...

— Już ono tam wszyscy wiedzą, jakie jest u was to makowe ziarnko; morgę pola by niem obsiał; więcej, niż tym koniczem, co kiedyś zginął.

— Koniczem... już ci konicz przez gardło przelazł... Czy mało się wam jeszcze naprzysięgałam?

— Eee... wy w jednym rękawie macie przysięgę, a w drugim swoje zachcianki.

— Może powiesz, że...

— Ja już nic nie powiem — niech Jędrzej mówi, bo to jego rzecz. Zresztą wy sami dobrze wiecie: nie o konicz chodziło, tylko o dziadka. No, ale przynajmniej macie tak, jakeście chcieli.

— Com chciała? Ja nic nie chcę, tylko wy chcecie mnie po łbie jeździć. Czy ja dziadka wyganiałam? czym wyrzekła im bodaj jedno słowo? Chyba tego już nie potraficie powiedzieć, faryzeusze! Tu krętactwa wam się nie udadzą. Po mojej stronie prawda i uczciwość.

— W takim razie powiedzcież tak prawdę, kto dziadka wygnał? ej kto? Czy wy myślicie, że ludzie są ślepi? niczego nie dojrzą?...

— O Rany Chrystusa! Za co wy ino chcecie mię dobić, za co? Czy ja tu jestem choćby krztę winna czemu? Piekła dla was nie starczy za moją krzywdę! Ale... zobaczymy się na sądzie boskim, zobaczymy...

— To pewne; szkoda, że tak długo trzeba czekać na ów termin. Niejednemu za ten czas wilcy skórę na grzbiecie podrą.

— Uważaj, żeby tylko tobie nie podarły.

— Trudno uważać wtedy, kiej się ma same wilki na wszystkie strony, a nigdzie nie widać człowieka. Trudno. Takie już, widać, czasy nadeszły: trzeba się na wszystko przygotować — na wszystko najgorsze.

Nowy okres kłótni zaczął się z chwilą wejścia Tomka. Jedna i druga strona zaczęły sobie wymiatać wszystkie swoje zaległe pretensje i żale.

— Dziesięciu rządców być nie może — zaczął Tomek — ktoś musi ustąpić. Tobie i dziadkowi zaczęło się zdawać, że tylko was powinni wszyscy słuchać, wam nadskakiwać. Dla was wszystko, co kto innny zrobił lub powiedział — było złe i do niczego. Każdemu coś macie do wytykania, a żaden nie przypatrzy się dobrze, co u niego wewnątrz siedzi. Wszyscy mają jakieś winy, tylko ty i dziadek — żadnych.

— Dziadkowi trzeba dać spokój, bo go już niema.

— Niema, to niema — wtrąciła matka; — nikt go nie będzie błagał, aby został.

— Kogo się wyrzuca, tego się chyba nie błaga...

— A jak tobie, Franek, tu się już sprzykrzyło, to też możesz sobie poszukać gdzie jakiego lepszego miejsca; gwałtem cię nikt nie trzyma... niech Bóg broni.

Na to Franek nie był należycie przygotowany. Więc zgiął się nieco, nasunął kapelusz na oczy, aby zasłonić pewną niedyskretną wilgoć. Zrobiło mu się tak jakoś dziwnie, tak się poczuł przygniecionym do ziemi, że ani słowa nie mógł znaleść na odpowiedź. Czuł tylko, że coś spadło na niego coś ciężkiego, coś, co się określić nieda. Tu się urodził, tu wzrósł, te tylko znał ściany; one obejmowały cały jego świat pojęć, oraz wszelkich poczynań. W tym świecie umiał się tylko obracać, spełniać swe żywotne funkcje; z tym tylko światkiem umiał się radować, ponosić trud pracy, pocić bez odczuwania tego, i znosić wszelkie udręki, hojnie rzucane ręką twardego życia. Nic dziwnego, że na pomyślenie, iż wypadnie mu zmienić otoczenie, wejść w nowe życie — stała się jego głowa za mała i za ciasna. Wreszcie dotarł do istoty treści rzuconych mu słów. Resztkami sił zniewolił siebie, aby nie okazać zupełnej bezsiły i poddaństwa. Przypuszczać należy, iż nie grał tu roli honor, ale zwyczajna i pospolita wśród ludu zaciętość i upór.

— Dyć... poszedł Jędrzej, mogę i ja za nim... U ludzi jest miejsca dosyć... Co się przeżyło, to przeżyło, a tej reszty już niewiele; byle gdzie można ją spędzić. To ci tylko, Tomek, powiem, żeby tak ciebie kiedyś baba nie wygnała, bo ona tu robi wielkie porządki, jak na Wielkanoc. Miarkuj se na nią i na siebie — bez urazy ci to mówię.

W odrętwiałem namyśleniu wyszedł do stajni, zostawiając za sobą krzyki i wymyślania poruszonej baby, oraz napół ogłupiałego Tomka, niewiedzącego na którą stronę w ostateczności ma przechylić swój głos potępienia.

— Pójdę... czemu nie mam pójść — mruczał sobie Franek, nie zdając sobie jeszcze z tego najmniejszej sprawy. — Tych sierót mi żal... Będą robić z niemi, co się im tylko zapodoba. Pokiego czarta wziął sobie tego chyrca, któremu teraz wszystko wierzy... Pocoś ty, Margośka, umarła, ej, poco?

Dopiero na wspomnienie Margośki wytrysnął mu z oczu obfity strumień łez, na których powstrzymanie wcale się nie silił: były mu bowiem mistycznie kojącą ulgą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czarna postać.

(Ze szwedzkiego).

Kilka lat temu zdarzył się wypadek, o którym często później wspominałem, gdyż rzeczywiście należy do niezwykłych. W każdym razie takie moje przekonanie. Nigdy jednak nie opowiadałem go szczegółowo.

Posłuchajcie i osądźcie sami!

Jadąc nocnym expresem z Malmo do Stockholmu, rozłożyłem się wygodnie w przedziale sypialnym.

Późno w nocy przebudziłem się i bardzo byłem zdziwiony, przekonawszy się, że pociąg stoi w miejscu.

Konduktor objaśnił mnie, że stoimy już około godziny. W odległości dwóch, trzech godzin drogi od nas wykoleił się pociąg towarowy. To właśnie nas zatrzymało.

Jako tako ubrałem się, wyjrzałem oknem i spostrzegłem, że stoimy na jakiejś małej stacyjce. Ogólne było przekonanie, że przestoimy jeszcze z godzinę. Wobec takiego stanu rzeczy uznałem za najstosowniejsze pokrzepić zwątlonego ducha porządnem śniadaniem w wagonie restauracyjnym.

Kiedy doprowadziłem do skutku ten zamiar i zapaliłem cygaro, nie było jeszcze najmniejszej nadziei, abyśmy rychło wyruszyli w drogę. Wyszedłem z wagonu i przeszedłem się kilka razy wzdłuż pociągu, oddychając z rozkoszą pysznem letniem powietrzem.

Wielu ludzi interesują parowozy. Prawdopodobnie pociąga ich ta straszna siła, jaką kryje w sobie parowóz. Parowóz, to żywe stworzenie, olbrzymie, silne zwierzę, które sapie i stęka, gdy wyrusza w drogę, podobnież jak koń i będzie dygotać, gdy w jego organiźmie zajdzie jakaś nieprawidłowość.

Ja również zatrzymałem się przed potworem i oglądałem po raz setny skombinowany system żelaznych sztab, kół i kranów, jak zwykle nic nie rozumiejąc całego urządzenia.

Potwór oznaczony był numerem 981. Pamiętam to doskonale; pamiętam też to, że byłem zdziwiony tak wysoką liczbą parowozów w Szwecji.

Stojąc i przyglądając się mechanizmowi, spostrzegłem na parowozie maszynistę, który oparł głowę na ręku i obserwował mnie. W ustach trzymał małą, krótką gwizdawkę.

Uchyliłem kapelusza, zagadałem doń, poczęstowałem go cygarem. Moja uprzejmość ujęła go widocznie. Zauważył, że interesuję się maszyną i spytał, czybym nie chciał obejrzeć jej szczegółowiej. Za chwilę byłem już u niego na górze i słuchałem jego wyjaśnień o budowie kotła, kranów, manometru itp. rzeczy.

Gdy skończył, zwróciłem mu uwagę, że nie wytłumaczył mi jeszcze co zą przedmiot znajduje się w małych pozłacanych ramkach. Przypominał trochę z wyglądu ćmę nocną.

Wyjrzał oknem i powiedział:

— Zdaje się, że nie prędko ruszymy, więc mogę, jeżeli pan chce opowiedzieć w kilku słowach tę historję.

Rozumie się, poprosiłem go o to.

Usiadłem na miejscu palacza, który rozmawiał z jakimś człowiekiem obok wagonu towarowego i maszynista zaczął:

— Pyta pan, co to jest. Jak nazwie to uczony, nie wiem, ja uważam ten przedmiot za swego anioła-

stróża. A to dlatego, że przyniósł mi szczęście. Może pan kpić ze mnie, pan przecież jest mądrzejszy od prostego, jak ja człowieka, ale niech pan wpierw posłucha mego opowiadania. Działo się to mniej więcej rok temu. Pamiętam nawet datę — 9 kwietnia.

Prowadziłem ten sam parowóz, numer 981. Palaczem był ten sam, co teraz mi pomaga. Nazywają go Jonas, to on właśnie tam stoi i rozmawia.

— Bardzo go lubię. Dobry chłopak i umie utrzymać miarę, gdy pije wódkę. Muszę przyznać, że jest zabobonny i często go za to wyśmiewałem. Teraz już tego nie robię, od tej pory, gdy zobaczyliśmy „czarną postać".

O, pan się śmieje, rozumie się, ma pan słuszność! Ale niech pan wysłucha do końca.

Więc działo się to 9 kwietnia 1908 roku. Ekspres, który wychodzi z Malmö o 6.20 wieczór, spóźnił się o pół godziny przy wyruszeniu, ponieważ musiał czekać na pociąg z Kopenhagi. Wieczorem zerwała się straszna burza i ciągnęła się całą noc.

Pędziliśmy do Stockholmu z szybkością, która przechodziła czerwoną kreskę o parę stopni. Po pierwsze trzeba było walczyć z burzą, a po drugie chcieliśmy powetować opóźnienie.

Wichura z taką siłą szalała, że chwilami zdawało się, iż nas wywróci. Później lunął deszcz, jakiego w życiu nie widziałem, niedługo zaś zamienił się w grad. Ziarnka gradu były wielkości orzecha tureckiego, tak, że szyby w oknach były narażone na rozbicie. Słowem, czas był okropny, ale w tym naszym kąciku było wcale zacisznie.

Nie uczuwałem wcale strachu. Jonas za to wydawał mi się blady.

— Mam nadzieję, że się nie boisz, Jonasie? — zapytałem z uśmiechem.

— Eh, bać się to się nie boję, ale chciałbym jak najprędzej dostać się do Stockholmu. Żebym nie wymówił w złą godzinę, ale zdaje mi się, że spotka nas w drodze coś nieprzyjemnego.

Wykpiłem go, ale tylko pozornie. Mówiąc prawdę, lęk Jonasa i mnie się udzielił. Ale cóż z tego! Musieliśmy w dalszym ciągu pędzić z szybkością 12—13 mil na godzinę, pomimo stacyj i dawanych sygnałów. Nie zdarzyło się jednak nic innego, niż to, co się stać miało.

Nabraliśmy wody w Nesjö; obejrzałem, czy są w porządku wszystkie części maszyny, gdy tymczasem Jonas opatrywał latarnie parowozu. W kwadrans później pędziliśmy dalej.

Wszystko wokoło nas tonęło w ciemnościach, prócz przestrzeni, którą oświecały latarnie parowozu. Jonas palił w piecu jak zwarjowany i w niedługim czasie dosięgnęliśmy szybkości 15 mil.

Patrzyłem uważnie na tor, nie odejmując ręki od tej oto dźwigni. Nagle ujrzałem przed parowozem coś rzeczywiście strasznego. Była to postać kobieca, niepojętych rozmiarów, w czarnem, rozwiewającem się ubraniu. Długie ręce widma poruszały się na wszystkie strony. Gdy stałem, jak sparaliżowany i nie mogłem oderwać od niej oczu, kobieta zrobiła ostatni, dziki, rozpaczliwy ruch i zniknęła.

Byłem tak przerażony, że literalnie nie mogłem się poruszyć z miejsca.

— Co panu, panie Jensen? — krzyknął drżącym głosem.

Z wrażenia nie mogłem mówić.

Zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie trzeba było przejechać przez dość wysoki most. Dziś też tamtędy jechać będziemy, więc go pan sam zobaczy.

Minęliśmy wielki łuk, minęliśmy las. Potem...

Nagle Jonas przeraźliwie krzyknął i drżącą ręką wskazał tor przed maszyną. Zdawało mi się, że oczy z orbit mu wychodzą.

Wyjrzałem i znów zobaczyłem tę straszną, majaczącą się we mgle czarną postać, oświetloną światłem latarni. Chwilami stała bez ruchu; to znów rozpoczynała jakiś dziki taniec z okropnemi jakiemiś, jakby ostrzegającemi ruchami; zdawało się, że chce zatrzymać pociąg.

— Zwolnij pan! — krzyczał mi do ucha Jonas. Nie wjeżdżaj na most! Na miłość Boską, nie wjeżdżaj pan na most.

Sam, nie zdając sobie sprawy, puściłem w ruch hamulce, nie wiedząc nawet, co robię. Wiedziałem tylko, że muszę to zrobić, że nie mogę inaczej.

Pociąg stanął. Z wielu okien wychylały się głowy. Zeskoczyłem z maszyny, naczelnik pociągu już szedł ku mnie.

— Co się tam stało? — krzyknął. — Zauważyłem, że był rozgniewany.

— Co się stało? — powiedziałem. — Obaj z Jonasem ujrzeliśmy jakąś postać. Widzieliśmy olbrzymią, czarną kobietę, która, tańcząc przed parowozem, wyciągała ręce, jakby ostrzegając przed czemś. ..

Naczelnik podniósł latarkę i popatrzył mi w twarz z osobliwym wyrazem w oczach.

— Może pan zechce pokazać mi tę postać? — powiedział i poszedł ze mną na nasyp przed parowozem. Wicher był tak silny, że ledwie mogliśmy się utrzymać na nogach.

Stałem przed maszyną, jak wygłupiony uczniak. Nic nie było widać na drodze.

— Cóż, panie kochany, popsuło się panu w głowie chyba... — rzekł naczelnik. — Żal mi pana! — ciągnął dalej.

Ponieważ pociąg był zatrzymany i most był niedalej, jak o kilka sążni, namówiłem go, by udał się tam ze mną. Kilku pasażerów towarzyszyło nam.

Gdy przybyliśmy na miejsce, stanęliśmy przerażeni. Gdzież most?

Ujrzeliśmy ziejącą przepaść, na której brzegu sterczało tylko kilka pogiętych, żelaznych belek.

Z głębi dochodził tak głośny huk wzburzonych fal, że własnych słów nie można było prawie słyszeć. A tam, w dole, nad przepaścią...

— Patrzcie, patrzcie, patrzecie! — wołał naczelnik, chwytając mnie za rękę.

Stała tam czarna postać w rozwiewających się szatach i dawała nam jakieś znaki. Podnosiła i opuszczała ręce, jak warjatka.

Naczelnik, milcząc, spojrzał na nią, potem zwrócił się do mnie:

— Pan ją widział?

— Tak, to ona — odpowiedziałem.

— Dzisiejszej nocy wyratował nas nie wypadek, lecz coś innego. Jestem tego pewny, panie Jansen.

Wróciliśmy do pociągu.

Pasażerowie, którzy wyszli naprzeciwko, wypytywali o wypadek. Między nimi był młody inspektor. Głęboko zamyślił się, usłyszawszy o czarnej postaci, potem zaczął uważnie przyglądać się latarniom parowozu.

Sam je także oglądałem, choć nie miałem nadziei znaleźć tam wyjaśnienia dziwnego zdarzenia.

Gdy wtem... wewnątrz latarni, na oświeconem szkle jej zaczęła rzucać się duża ćma nocna.

— Czy to nie owa czarna postać? — zapytał inspektor, wskazując ćmę.

Staliśmy zdumieni nowem odkryciem, które to wszystko wyjaśniło.

Wzięliśmy za czarną postać powiększony cień ćmy.

Skrzydła i wąsy były ubraniem i rękoma, któremi poruszała postać. Jonas widocznie zamknął ćmę, czyszcząc latarnię.

I oto może pan zobaczyć naszą wybawczynię za szkłem w tej złotej ramce.

Wybawiła ona tej nocy mnie i tylu ludzi, za których odpowiedzialność spadała na mnie. Nigdy nie trzeba obchodzić się pogardliwie z niczem małem, prawda? Uczono mnie tego jeszcze w szkole, ale teraz — przysięgam! — nigdy tego nie zapomnę.

— Ale niech pan mi powie — mówił dalej cicho z zaufaniem, biorąc mnie za palto, według pana, ćma... według pana — sama znalazła drogę do latarni, czy...

— Może pan myślisz, że Jonas chciał pana nastraszyć?

Chwilę podejrzliwie patrzył na mnie. Potem wziął moją rękę i powiedział łagodnie:

— Pan tego nie myśli! Jestem pewien, że pan jest z tych ludzi, którzy wierzą, że między niebem a ziemią istnieje wiele rzczy, których nie obejmuje nasz rozum. No, dziękuję za cierpliwość i cygaro! Myślę, że teraz już pojedziemy dalej.

I pociąg rzeczywiście ruszył niezadługo. Gdyśmy w popołudniowej porze przejeżdżali most, niedaleko od Nordköpingu — doznałem bardzo osobliwego uczucia.

Podbiegłem do okna i wyjrzałem właśnie w tej chwili, gdy wjeżdżaliśmy na most. Popatrzywszy naprzód, zobaczyłem maszynistę. Wychylił się całem ciałem i patrzył na leżącą przed nami drogę.

Kiwnąłem głową na dowód, że zrozumiałem go.

Od tej pory, bywając w Malmö, szukałem zawsze parowozu Nr. 981, ale nigdy go już nie spotkałem.



Poradnik gospodarczy.

Zostawienie niezoranego ścierniska po sprzęcie zboża nawet przez krótki czas wpływa bardzo niekorzystnie na następne zbiory. Zaoranie zaś natychmiastowe uważają rolnicy za jedną czwartą znawożenia, zaś korzystanie ze ścierniska, jako pastwiska dla bydła ani w przybliżeniu nie wynagrodzi tego, co rolnik traci na przyszłym plonie.

Rola po zebraniu z niej plonu powinna przejść w stan chwilowego spoczynku, potrzebnego do lepszego odbycia różnych czynności fizycznych i chemicznych. Działanie to jest tem dłuższe, im rola jest urodzajniejsza. Należy ją więc wprawić zaraz po sprzęcie zboża w taki stan, aby jej to ułatwić i dać roli pulchność i sypkość.

Przez natychmiastowe zaoranie ścierni, rola nie traci wilgoci tylko spoistość. Bez dostatecznej wilgoci nigdy się ziemia należycie nie doprawi i odleży, gdyż gdzie brak wilgoci, tam niema przemiany materji.

Gdzie niema przemiany materji, tam organiczne i nieorganiczne pierwiastki spoczywają obok siebie martwo, przeciwnie, gdy wilgoci jest podostatkiem, przemieniają się w pokarm dla roślin. W spulchnioną ziemię mogą należycie wsiąkać deszcze i rosa, zaś zbitej ziemi nawet ulewa nie przesiąknie do głębi.

Ważną bardzo jest rzeczą, iż zaoranie wczesne ścierniska po sprzęcie zboża wyniszcza chwasty.

Nasienie chwastów nie zejdzie, gdy niema potrzebnych warunków, gdy więc rola zostanie wczas spokładaną, to nasiona chwastów dostają potrzebne warunki do zejścia i wschodzą jeszcze w tym samym roku. Wczesne zaoranie niszczy wszelkie szkodniki i robactwo, gdyż przez zoranie robactwo wydobywa się na wierzch i zostaje zebrane przez ptaki, zaś jajeczka i poczwarki wystawione na działanie powietrza i słońca giną. Powietrze otrzymuje łatwiejszy dostęp do wnętrza ziemi, przez co następuje rozkład różnych związków tak mineralnych, jak i zawartych w roślinach. Związki te w różnych połączeniach chemicznych przerabiają się na pokarm dla roślin, i zastępują nawóz.

Głównem działaniem w korzystnych przemianach jest kwasoród powietrza, wszakże niemało popiera też to działanie ten kwas węglowy, który wydzielają rośliny w czasie wzrostu, a który jako cięższy od powietrza spada na rolę i leży, jako ciężki gaz na jej powierzchni pomiędzy ścierniskiem, zaś przez zbite grudy ziemi nie może się do niej dostać. Pochwycenie go i zmieszanie z rolą to jedna z największych korzyści wczesnego zorania ścierniska; gdy się to uda rolnikowi, to oprócz działania kwasorodu powietrza z zewnątrz na surową skibę działa jeszcze przyorany kwas węglowy bezpośrednio wewnątrz i powoduje w roli przemiany bardzo korzystne przy przyszłych urodzajach.

Gdy więc zważymy wszystkie korzyści, wynikające z wczesnego zaorania ścierniska, nie będziemy tej pracy odkładać, ale wykonamy ją jak najrychlej, mimo iż przypada w czasie największych robót, aby nie pozbawić się wzmożenia przyszłych plonów i oszczędzić drogiego nawozu, którego rok rocznie nie jesteśmy w stanie roli dawać.

Wzruszenie ziemi drapaczem ma za cel przedewszystkiem zniszczenie chwastów i perzu, co zastąpi odwracanie roli, które jest tylko powtórzeniem orania, aby ziemię lepiej spulchnić i udostępnić lepszy przystęp powietrza.

Chcąc wytępić chwasty na roli, po przyoraniu należy dopiero w 4—6 tygodniu rolę odwrócić, gdyż takiego czasu potrzeba, aby chwasty zgniły, gdybyśmy zaraz oraną ziemię odwrócili, to chwastów nie wygubimy, ale damy im warunki takie, iż w roku przyszłym jeszcze lepiej rosnąć będą. Odwracanie powinno być zawsze głębsze niż pierwsza-orka, która powinna rolę pokładać płytko.

Jan Matysik.



Choć wszyscy urągają
na niewieście wady,
Bez kobiety nie dają
sobie jednak rady.

Aleksandra M.

KRONIKA.

Powódź w Małopolsce wschodniej. Z powodu gwałtownej ulewy w nocy z 30 na 31 sierpnia nastąpiły na obszarze województwa lwowskiego katastrofalne wylewy rzek Sanu, Dniestru, Strwiąża, Tyśmienicy i innych oraz ich dopływów. W powiatach: Przemyśl, Dobromil, Sanok, Lisko, Sambor, Stary Sambor, Drohobycz i Rudki rzeki, wylewając gwałtownie, zalały okoliczne pola i wsie, a częściwo i miasta, niszcząc pozostawione na polach plony, zrywając liczne mosty i psując poważnie gościńce i linje kolejowe. Ludność zalanych miejscowości, ratując życie, zostawiła cały swój dobytek na pastwę losu. Szkody, wyrządzone przez wylewy, są olbrzymie. Komunikacja między licznemi miastami a w szczególności między Samborem i Drohobyczem, przerwana. W powiecie drohobyckim wszystkie mosty na rzece Tyśmienicy zerwane. Zagłębie Borysławskie odcięte od kolei i Drohobycza. Ruch w kopalniach ustał. W innych powiatach rozmiary katastrofy bardzo wielkie. Na pomoc dotkniętej niebywałą katastrofą ludności pospieszył urząd powiatowy, policja państwowa, straż pożarna i wojsko, które natychmiast wysłało do zagrożonych okolic pontony i saperów. Na podstawie otrzymanych raportów o katastrofie powodzi w województwie lwowskiem i stanisławowskiem, zostało przedstawione p. wiceprezesowi Rady ministrów Bartlowi szczegółowe sprawozdanie. P. wicepremjer po dokładnem zbadaniu raportu wyasygnował na doraźną pomoc dla ludności dotkniętej katastrofą pół miljona złotych. Dalsza pomoc rządowa nastąpi wkrótce.

Tragiczna śmierć dwóch księży. W Tatrach zginęli tragiczną śmiercią dwaj księża, a mianowicie ks. Antoni Wosiek z Opola na Śląsku Górnym i ks. Niedzielski. Ś. p. ks. Antoni Wosiek bawił na wakacjach w Zakopanem, skąd urządzał bardzo często wycieczki na szczyty tatrzańskie. Onegdaj znaleziono jego zwłoki na szczycie Lodowym w Tatrach. Wiadomość o zgonie ś. p. ks. Wosieka wywarła na całym Śląsku Opolskim duże wrażenie, bowiem zmarły pomimo swojego młodego wieku był już znany w szerokich sferach, jako wzorowy kapłan i niezmordowany pracownik wśród ludu polskiego. — W ubiegły czwartek w jednej z dolin górskich Tatr po stronie czeskiej znaleziono obdarte do naga zwłoki. Okazało się, że są to zwłoki ks. Niedzielskiego, przyczem skonstatowano, iż wypadek musiał nastąpić bardzo niedawno. Do tej pory nie zdołano stwierdzić, czy chodzi tu o nieszczęśliwy wypadek, czy też o zamach morderczy. Jest to już 12-ty w tym roku śmiertelny wypadek w Tatrach.

Niedźwiedzie w Tatrach. Z Zakopanego donoszą: W tych dniach znaleźli juhasi w lesie niedaleko swych szałasów na hali Tomanowej za Doliną Kościeliską szczątki poszarpanej owcy. Za dwa dni na tem samem miejscu nad ranem rozległo się trwożliwe beczenie owiec w zagrodzie na hali. Juhasi, którzy wybiegli z szałasów, zobaczyli dużych rozmiarów niedźwiedzia, unoszącego do lasu owcę. Wedle opowiadania gajowych, na polskiej stronie Tatr grasuje kilka sztuk niedźwiedzi, które przedostały się ze zwierzyńca ze strony czeskiej z dóbr Hohenlohego. Niedawno widziano również niedźwiedzia wielkich rozmiarów w pobliżu Leśnej Polany.

Tragiczne manewry pod Haliczem. Tegoroczne manewry wojskowe, jakie odbywają się dotychczas pod Haliczem, były już miejscem kilkunastu tragicznych wypadków, które nierzadko zakończyły się śmiercią. Z ostatnich dni mamy znów do zanotowania poważny fakt, który omal nie skończył się katastrofą. Oto w czasie przeprowadzania próbnych działań wojennych przyglądał się przebiegowi gry dowódca D. O. K. VI. gen. Sikorski, wraz z całym sztabem. Wypadek chciał, że jeden z ostrych granatów, wycelowany niewprawną ręką, padł o kilka kroków od sztabu. Oficerowie szybko zorjentowali się w sytuacji i rzucili się na ziemię, unikając w ten sposób strasznej śmierci, jaka ich niechybnie czekała. Granat eksplodował, nie wyrządziwszy nikomu żadnej szkody. Ostatnio znów próbne ćwiczenia rozpoczęły się katastrofą. Mianowicie skierowano armaty na pewien odcinek, na którym telefonista z 53 p. p. przeprowadzał obserwacje. Zanim zdołał on zejść z placówki, zagrały armaty, o kilka minut za wcześnie. Skutek tego był fatalny. Jeden z granatów urwał telefoniście głowę, kładąc go trupem na miejscu.

Dziecko pod kołami pociągu. W chwili, gdy pociąg osobowy zdążał z Tarnopola do Lwowa i przejeżdżał obok wsi Podborce, nagle na torze kolejowym znalazło się małe dziecko. Maszynista zobaczywszy je, o ile możności zwolnił bieg pociągu, ale mimo to dziecko potrącił. Pociąg wreszcie zatrzymał się, a jadąca nim p. Zofja Dzielińska, właścicielka dóbr ze Starego Jaryczowa, zajęła się poranioną dziewczynką i zabrała ją do wagonu. Była to trzyletnia Władysława Ostrowska, córka Jana i Katarzyny Ostrowskich, rolników w Podborcach. Na dworcu kolejowym ranną opatrzył lekarz Dr Stauber, stwierdziwszy, że doznała ona zmiażdżenia lewej kości czaszkowej i małego palca u prawej nogi. Ostrowską z dworca odstawiono do szpitala.



Obrazek nasz przedstawia dziecko na torze kolejowym i nadjeżdżający pociąg, którego maszynista gwizdaniem i puszczaniem pary stara się dziecko z toru coprędzej odstraszyć, co mu się tylko w części udało.

Przepowiednie cyganki. W czasie uroczystości dożynkowych u p. Prezydenta w Spale sensację wywołało ukazanie się wśród tłumu taboru cygańskiego. W pewnej chwili jedna z cyganek zaczęła wróżyć uczestnikom zabawy. Przepowiednie pięknej cyganeczki były tak trafnie pomyślane, że zainteresowali się niemi nawet liczni przedstawiciele rządu. Cyganka wyraziła także chęć powróżenia p. Prezydentowi, którego o tem zawiadomił adjutant. P. Prezydent wyraził swą zgodę i wyciągnął dłoń. „Wielka i silna jest Polska — mówiła cyganka — ale będzie jeszcze silniejsza i wszyscy będą kłaniali się jej, jak pani; będzie ład, spokój i zamożność i Ty przez długie lata prowadzić ją będziesz do wszelkiego dobra“. Wróżbę wypowiedziała cyganka głosem śpiewnym w dość poprawnej mowie, jednak z akcentem wybitnie cudzoziemskim. P. Prezydent ucałował cygankę w czoło i polecił wypłacić jej 100 złotych. Następnie cyganka wróżyła obecnym w Spale ministrom, przyczem jednemu z dostojników oświadczyła: Wysoko panoczku doszedłeś, a chciałbyś jeszcze wyżej. Przy twoim boku jest coś co ciągle liczy, a czego nikt

oprócz ciebie nie lubi. Wróżba ta wywołała wiele wesołości. Konsternację wywołała wróżba cyganki, która jednej z pań zaleciła większą wierność małżeńską.

Żarłoczny mąż. Z Częstochowy donoszą: Onegdaj o godz. 7 wieczorem mieszkańców ulicy Nadrzecznej w Częstochowie zaalarmował przeraźliwy krzyk kobiety. Po chwili w bramie domu Nr 83 zjawiła się szamocąca para: mężczyzna i kobieta. Mężczyzna rzucił się na swoją przeciwniczkę, usiłując jej odgryźć nos. Kobieta ostatnim wysiłkiem szarpnęła głową, unikając w ten sposób strasznego okaleczenia. W ręku mężczyzny został tylko pukiel włosów. Walka jednak nie skończyła się, zwabiając coraz liczniejszych widzów. Na straszny krzyk, przybiegla matka napadniętej z siekierą i zadała napastnikowi cios w głowę, doprowadzając go tym sposobem do opamiętania. Wkońcu zjawiła się policja, która aresztowała krwiożerczego awanturnika. Jak się okazało, był to niejaki Tadeusz Zaleski, usiłował on w ten sposób zeszpecić własną połowicę, która od pewnego czasu nie mieszka z nim. Okrutnego męża narazie odseparowano od prześladowanej przezeń żony, oddając go do dyspozycji sędziego śledczego.

Tragiczna śmierć przyjaciół. Z Warszawy donoszą: Straszna scena rozegrała się w Gliniance na Ochocie przy zbiegu ulic Grójeckiej i Opaczewskiej w Warszawie. Około południa nad brzeg Glinianki przybyli, aby się wykąpać, dwaj młodzi mężczyźni. Jeden z nich rozebrał się szybko i wskoczył do wody. Drugi, jakby tknięty złem przeczuciem, zwlekał z wejściem do wody. Po kilku minutach kąpiący się mężczyzna zaczął oddalać się od brzegu. Idąc nieopatrznie ku środkowi Glinianki, stracił grunt pod nogami i zaczął tonąć. Towarzysz jego pozostały na brzegu, zaczął głośno wzywać pomocy, a gdy ratunek nie nadchodził, wskoczył do wody i popłynął w kierunku tonącego. Bez trudu dostał się do tonącego, lecz nieopatrznie podał mu rękę. Tonący chwycił się rozpaczliwie ręki przyjaciela. Napróżno dzielny ratownik usiłował wydobyć rękę z uścisku tonącego. Broniąc się przed widmem śmierci, tonący kurczowo uczepił się ramienia przyjaciela. Po chwili i ratujący zaczął tonąć. Wody Glinianki, jak wieko trumny, zamknęły się nad dwoma przyjaciółmi. Są to dwaj robotnicy, zamieszkali w Szczęśliwicach. Nazywają się: Jan Czużek, lat 24 i Franciszek Ostałek, lat 21.

Wezwanie nieboszczki. W nocy z piątku na sobotę zdarzył się w Bydgoszczy wypadek tak niezwykły i tajemniczy, iż nietylko zainteresowane osoby, ale i władze stoją bezradne wobec splotu niewytłumaczalnych faktów. Właściciel dóbr Poręba w powiecie oświęcimskim, p. Henryk Foltański przyjechał na dłuższy pobyt do Bydgoszczy. Żonę i dzieci wysłał na letnisko do leśniczówki pod Tucholę, a sam zamieszkał u kuzyna przy ulicy Sienkiewicza. Zatrzymywały go w mieście ważne sprawy, bowiem prowadził pertraktacje w sprawie kupna folwarku na Pomorzu. W mieszkaniu w nocy z piątku na sobotę był tylko Foltański. Nagle obudził go ostry dzwonek telefonu. Pospieszył do aparatu i z najwyższem zdumieniem usłyszał głos swej żony:

— Henryku! przyjedź natychmiast i zabierz dzieci... Niech nie płaczą nad moim trupem...

Po tych słowach telefon zamilkł. P. Foltański spojrzał na zegar. Była godzina 1 minut 50. Wiedział, że w tucholskiej leśniczówce niema telefonu. Kto więc dzwonił o tak późnej porze? Żona, czy inna kobieta? A jednak głos był łudząco podobny. Ochłonąwszy ze wzruszenia p. Foltański zatelefonował natychmiast do centrali, pytając z kim go łączono. Telefonistka zapewniła, że numer telefonu wcale nie był wzywany. Twierdzi to z całą stanowczością, ponieważ o tym czasie ruch jest bardzo słaby i każde połączenie dobrze pamięta. Do rana obywatel nie zmrużył oka, bijąc się z najrozmaitszemi myślami. O godz. 8 poszedł na śniadanie, a gdy wrócił do domu, ujrzał przed bramą zakurzony samochód. Szofer dzwonił właśnie do mieszkania. Okazało się, że z leśniczówki przysłano po p. Foltańskiego auto, aby natychmiast przyjechał, ponieważ stało się nieszczęście. Więcej, niż było w liście, przygodnie wynajęty szofer nie mógł nic dodać. Po przyjeździe na miejsce, ziemianin dowiedział się o śmierci swej żony. Kobieta najzupełniej zdrowa, doznała o godzinie 12 w nocy ataku sercowego i po upływie pół godziny umarła. Czując, że zbliża się zgon i widząc płaczące dzieci, dwa razy odezwała się z desperacją:

— Gdybym to mogła zatelefonować do męża!

Życzeniu jej nie mogło stać się zadość, ponieważ w leśniczówce telefonu nie było. Śmierć nastąpiła około godziny 12 min. 30 w nocy. Wkrótce potem obudził męża dzwonek telefoniczny. Z domowników na leśniczówce nikt nie myślał o telefonowaniu, ponieważ najbliższy aparat telefoniczny był odległy blisko o godzinę drogi, a pozatem nikt nie znał numeru.

Powódź w Wilnie. Z Wilna donoszą: W ubiegłym tygodniu dzielnica miasta, przylegająca do ulicy Taczkarnia, nawiedzona została niezwykłą katastrofą powodzi. Mianowicie pękła nagle tama, piętrząca wody stawu OO. Misjonarzy, która była wybudowana dla celów gospodarczo-rybnych. Gdy tama pękła, ludność w pierwszej chwili nie wiedziała, skąd się wzięły na ulicach tak wielkie masy wody. Woda w krótkim czasie sięgała 2 metrów wysokości, gdzieniegdzie niskie domy zalała po dachy. Podczas akcji ratunkowej czynną była straż pożarna, wojsko i policja. Po ciężkiej akcji, przez usypanie sztucznych tam, udało się wody stawu skierować do Wilejki.

Cud kardynała Mercier'a. Czeskie pismo „Nasiniec“ podaje za innemi o cudzie dokonanym na nieuleczalnie chorym kapłanie diecezji Tournai, w Belgji, za wstawiennictwem ś. p. kardynała Merciera. Lekarze zwątpili o możności przyprowadzenia go do zdrowia. Wtedy chory zwrócił się z modlitwą do kardynała Merciera, którego relikwje nosił na sobie. Już drugiego dnia mógł swobodnie odprawić mszę świętą. Ordynarjat w Tournai bada ten cud, a biskup Gandawy zatwierdził ze swej strony modlitwę o rychłą beatyfikację kardynała. Katolicy belgijscy i inni chętnie zwracają swe prośby do tak niedawno zmarłego księcia Kościoła i zwiedzają jego pokój, który został zachowany w takim stanie, w jakim był za życia kardynała. Kardynał spał na sienniku, a pokój jego osobisty był bardzo ubogi. W dzień rocznicy śmierci Kardynała, 23 stycznia b. r. przeszło 700 osób przyszło pomodlić się w tym pokoju.

Walka z lisami. Szwajcarzy walczą z niezwykłą dla bardzo gęsto zaludnionych skrawków ziemi plagą, lisów. Rozmnożyły się one tam tak bardzo, że wszelkie dawne ich siedziby zostały nanowo zamieszkane i gdzie się tylko obrócić, widzi się ślady tych zwierząt. Kpią też niektórzy, że lisy w kantonie zuryskim, czując głód mieszkaniowy, będą musiały przenieść się do sąsiadów. Nic dziwnego, że wobec takiego rozmnożenia zuchwałość lisów nie zna granic. Niedawno właśnie widziano, jak w pobliżu Zurychu w jasny dzień lisy obległy kurnik i zrabowały całe znajdujące się tam ptactwo. Mieszkańcy, zastanawiając się nad przyczynami tego bardzo niemiłego stanu rzeczy, doszli do wniosku, że nie bez winy są tu i przepisy o polowaniach, zakazujące

stosowanych dawniej sposobów tępienia lisów. Poważniej myślą rolnicy, którzy oświadczają, że takie mnóstwo lisów zapowiada, że Zurych ma przed sobą nową plagę mysią, wobec czego należałoby chronić lisy, jako jednego i bardzo pewnego sprzymierzeńca w walce z myszami. Ten pogląd rolników bardzo jest miły, lecz w życiu podobno nie znajduje uzasadnienia, bo lisy pochłaniają coprawda pewne ilości myszy, lecz stanowczo wolą kaczki, gęsi i kury. Co zresztą mogłyby poradzić lisy w walce z miljonami takich szkodników, jak myszy, jeśli istotnie wystąpią one wyjątkowo obficie? Bo w walce z myszami środkiem jedynie skutecznym jest obfite zalewanie wodą ich nor przed mrozem.

Straszny lecz dobroczynny sen. Ernest Dennet, były żołnierz, sanitarjusz wojsk angielskich, obecnie zatrudniony jako szewc w pewnej londyńskiej firmie, utracił w czasie wojny wzrok i mowę, a to w czasie ataku gazów trujących na froncie belgijskim. Wzrok, po kilku miesiącach kuracji i udatnym zabiegu chirurgicznym przywrócono biednemu kalece, który jednak pozostał nadal niemową. W tych dniach, jak donoszą gazety angielskie, niespodziewanie skutkiem przerażenia doznanego w śnie, Dennett odzyskał mowę. Poprzedniego wieczoru niemowa udał się do kina, gdzie wyświetlano film pod tytułem „Syberja“. Straszny realizm scen rewolucyjnych podziałał przygnębiająco na kalekę. Gdy powrócił do domu, przez długi czas nie mógł usnąć, a w nocy przeżył cały widziany na ekranie obraz. Doznał wrażenia, jakby któryś ze zbójców sowieckich z bliska na niego nacierał ostrzem bagnetu. Czując już obnażone żelazo na piersi, zeskoczył podczas snu z łóżka, wydając z siebie przeraźliwe okrzyki zgrozy. Gdy przybyła obudzona ze snu matka, syn jej bez najmniejszego wysiłku i ku niezmiernej jej radości zaczął płynnie mówić i to po dwóch latach. Dziennikarzom, którzy go odwiedzili, oświadczył uszczęśliwiony, iż nareszcie będzie mógł się ożenić.

Wyścig ze śmiercią. Bardzo smutną historję, dotyczącą dwudziestoczteroletniego Jerzego Harta i panny Talbot opowiada jeden z dzienników angielskich. Ci młodzi ludzie już jako dzieci bardzo się lubili i stale bawili razem, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że przyjaźń przerodziła się w gorącą miłość. Z czasem zrozumieli to i poczynili przygotowania do ślubu. Jednak na kilka dni przed ślubem młody człowiek zapadł na zapalenie płuc. Lekarze nie robili wielkich nadziei, Hart sam zdawał sobie też sprawę z tego, że koniec jego jest bliski, prosił też tylko o to, aby przed śmiercią móc wziąć ślub z ukochaną. I tu właśnie rozpoczyna się ów wyścig ze śmiercią; bo śmierć kroczyła bardzo szybko a kapłan mający udzielić ślubu, musiał przed nią przybyć do szpitala. Jednak według bardzo dawnego przepisu angielskiego w podobnych wypadkach zezwolenie na przyspieszenie ślubu dać może tylko arcybiskup z Canterbury. On też tylko ma prawo zezwolić na odstępstwo od innego przepisu, głoszącego, że śluby mogą być udzielane jedynie do godziny 3 po południu. Dyrektor szpitala, w którym Hart leżał, sam przykładał się do tego, by wszystkie formalności zostały na czas załatwione. Toteż o 4 po południu przyszło pozwolenie arcybiskupa, a w godzinę później kapłan znalazł się u łoża chorego, który ledwie miał dość sił na to, by odpowiadać na przepisane pytania. Na twarzy jednak malowała się wielka radość, spełniono bowiem jego gorące pragnienie. W trzy godziny jednak po tej ceremonji pani Hart została wdową.

Wędrówka igły w ciele ludzkiem. Służąca w jednym z domów londyńskich, Dora Watkinson, ukłuła się przed rokiem grubą igłą do cerowania w nogę tak silnie, że odłamany koniec igły pozostał głęboko w ciele. Prześwietlenie wykazało w nodze obecność obcego ciała, długości pół cala, że jednak nie sprawiało ono bólu, ani nie wywołało zapalenia, po zgojeniu się powierzchownej ranki, lekarze uznali operację za zbyteczną. Przed kilku dniami Watkinson poczuła, że coś gwałtownie kłuje ją w dziąśle, przeszkadzając przy jedzeniu. Z największym zdumieniem zobaczyła w lusterku, że z dziąsła jej wystaje grube ostrze igły, które zresztą z łatwością sama wyjęła. Okazało się, że była to ta sama igła, która utkwiła jej przed rokiem w nodze i którą obieg krwi doprowadził aż do jamy ustnej, pozwoliwszy jej szczęśliwie ominąć najważniejsze organy, jak mózg i serce, w których byłaby napewno spowodowała śmiertelne uszkodzenia.

Ogrodnictwo japońskie stoi na bardzo wysokim stopniu, tak dalece, że każdy Japończyk, mający bodaj kawałeczek swojej ziemi, jest lepszym ogrodnikiem, niż najlepszy ogrodnik zawodowy w Europie, a fachowy ogrodnik japoński robi takie dziwy w swoim ogrodzie, o jakich u nas nikomu się nie śniło. Japończycy umieją np. dziesiątkami lat hodować drzewa, zupełnie takie same jak zwykłe, tylko że sto razy mniejsze. Niedawno przywiózł sobie do Europy jeden bogaty kupiec z Japonji drzewo dębowe, mające sto lat, ale wysokości tylko pół metra, w doniczce. Wszystko tam było jak na prawdziwym dębie: konary, gałęzie, liście, wszystko w takiej samej liczbie, co na wielkim stuletnim dębie, tylko wszystko malusieńkie. Aby liśćmi tego dąbka stuletniego nakryć jeden paznogieć, trzeba było zerwać aż dziesięć takich maleńkich listków.



Nadewszystko jednak Japończycy kochają się w hodowli kwiatów i nadzwyczajnych rzeczy dokazują. Na jedną angielską wystawę ogrodniczą przysłali oni kilkanaście krzaków bzu w doniczkach, tak sztucznie wyhodowanych, że każdy krzak robił wrażenie ptaka: czapli, żurawia, albo strusia. Powyżej dajemy tu obrazek takiego zbioru bzów.

Najmłodsza babka. Najmłodszą babką w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, a może i na świecie, jest p. Dirickson z Nowego Jorku. Obecnie liczy sobie lat 29. Wyszła ona zamąż, mając lat 14, w rok później urodziła córkę, która również wyszła zamąż mając lat 14. Córka ta w lipcu została matką, obdarzając p. J. Dirickson wnukiem.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

RZECZY CIEKAWE.

Przepowiednie pogody i słoty.

Często gęsto podają gazety przepowiednie, czego się mamy spodziewać w dniu następnym, czy pogody czy słoty. Są to obliczenia stacyj meteorologicznych, brane naukowo i dostosowane do ścisłej nauki o ciśnieniu warstw powietrznych, mierzonych barometrem. Jesteśmy również świadkami, że nie zawsze się one sprawdzają. Natomiast lud włościański ma pewniejsze znaki zmiany powietrza, a reguły te przepowiadające pogodę lub słotę, rzadko kiedy się mylą. Poniżej podajemy niektóre z nich.

Gdy niebo jest o zachodzie zaróżowione — stanowi to zapowiedź pogody; czerwony natomiast zachód słońca oznacza wiatr. Jeśli niebo jest czerwone na wschodzie przedtem, zanim słońce wzejdzie i gdy ta czerwoność potem znika, znaczy to, że będzie padać deszcz. Jeśli pierwsze blaski ukazują się z ponad chmur, jest to zapowiedzią wiatru; gdy natomiast niebo w tem miejscu jest czyste — świadczy to, że będziemy mieć ładną pogodę. Gdy o zachodzie słońca niebo jest żółte, błyszczące — należy spodziewać się wiatru; jeśli natomiast niebo ma kolor blado-żółty — będzie deszcz. Lekkie chmurki, o linjach nieokreślonych, są oznaką pięknej pogody z umiarkowanym wiatrem; jeśli natomiast zarysy tych chmur są wyraźne, spodziewać się trzeba wiatru. Deszcz wróżą małe chmurki o barwie atramentu; wiatr znowu zapowiadają małe lekkie chmury, a siła tego wiatru jest w prostym stosunku do szybkości biegu tych chmur. Jeśli chmury idą w różnych kierunkach — spodziewać się trzeba burzy. Taksamo wróżą burze chmury, uwijające się jedne nad drugiemi, robiące takie wrażenie, jakgdyby chciały jedna drugą przegonić. Jeśli chmury utrzymują się w tym samym kierunku, w którym wieje wiatr, zapowiada to ciągłość wiatru. Jeśli natomiast robią wrażenie, że chcą się ukryć w kierunku przeciwnym, wiatr szybko ustanie. Jeżeli chmury, zebrane u wierzchołka góry, utrzymują się tam, powiększają lub opadają — oznacza to bliski deszcz; gdy natomiast robią wrażenie i unoszą się w górę, zapanuje piękna pogoda.

Wpływ elektryczności na rośliny.

Czy elektryczność wpływa dodatnio na rośliny? Bardzo wiele czyniono już doświadczeń w tym kierunku, lecz wyniki ich nie są jasne, a często nawet sprzeczne.

Dla prowadzenia badań w tym względzie zastosowano dwa sposoby: pierwszy z nich polegał na zbadaniu działania prądu elektrycznego w samej ziemi. Wyniki tych doświadczeń doprowadzały do wniosków, że elektryczność opóźnia kiełkowanie; przyczyniła się ona do przyśpieszenia kiełkowania w jednym tylko wypadku, kiedy natężenie prądu było bardzo nieznaczne.

Drugi rodzaj doświadczeń miał na celu zbadanie wpływu prądu elektrycznego, znajdującego się nie w ziemi, lecz w atmosferze. Wyniki tych właśnie prób są bardzo zachęcające,świadczy bowiem o tem, że prąd elektryczny w atmosferze przyczynić się może do powiększenia zbiorów o 40 proc.

Poza tym usiłowano, nie bez powodzenia zresztą, wyzyskać wyładowania elektryczne atmosfery; lecz nie osiągnięto w tym względzie takich wyników, któreby upoważniały do jakichkolwiek wniosków ogólnych co do wartości praktycznej tych prób.

Kiedy powstały kolczyki

Kolczyki — dość miła ozdoba kobiecej twarzy — pochodzą z czasów niezmiernie dawnych; ukazały się one po raz pierwszy w takich oto okolicznościach:

Patrjarcha Abraham posiadał śliczną służącą, imieniem Agar, wobec której jego żona Sara bywała często bardzo zazdrosna. Pewnego dnia, powodowana atakiem wściekłego gniewu, Sara zupełnie zniekształciła twarz Agar, dziurawiąc jej nozdrza i uszy.

Gdy Abraham dowiedział się o tem, zburczał żonę, a jednocześnie postarał się o to, aby w jakiś sposób wynagrodzić jej ból. Myśląc o tem, wpadł na plan pocieszenia niewolnicy w ten sposób, że w otwory uszu włożył jej złote obrączki, co właśnie nadało twarzy Agar zgoła oryginalny wyraz. Zazdrosna Sara też przekłuła sobie uszy i poczęła nosić w nich złote obrączki. W ten sposób powoli powstawała moda kolczyków, które rozeszły się po całym świecie.

Ile jest języków w Europie.

Zacznijmy od swego domostwa, dopisując w nawiasach w zaokrągleniu na miljony, ile ludzi tym językiem na świecie mówi. A więc:

1. polski (25 milj.), 2. ukraiński (35) 3. białoruski (8), 4. rosyjski (112), 5. czeski (8), 6. słowacki (2 i pół), 7. słoweński (1,3), 8. serbsko-łużycki (0,09), 9. serbsko-kroacki (9), 10. bułgarski (4). Jest to wszystko jedna wielka rodzina słowiańska. Przechodzimy teraz do rodziny germańskiej: 11. niemiecki (77), 12. duński (3,3), 13. szwecki (6 i pół), 14. norweski (3), 15. islandzki (6,3,) 16. fryzyjski (0,1), 17. holenderski (7), 18. flamandzki (4 i pół). Następnie idzie rodzina romańska: 19. włoski (33), 20. francuski (60), 21. hiszpański (55), 22. katałoński (5 i pół), 23. portugalski (28), 24. rumuński (13 i pół), 25. romański (0,1), 26. bretoński (1,3), 27. langwedocki. Potem kroczy grupa języków ugru-fińskich: 28. węgierski (9 i pół), 29. estoński (1,2), 30. finlandzki (2,8), 31. turecki (13), 32. łapoński (0,03). I wreszcie języki, nie należące do żadnej z powyższych grup: 33. grecki (5), 34. albański (1,9), 35. litewski (2 i pół), 36. łotewski (1,4), 37. irlandzki (6,0), 40. osetski (0,01), 41. zyrjański, 42. permski, 43. język Mordwów, 44. wotjacki, 45. czuwski, 46. baszkirski, 47. czeremski, 48. gruziński czyli kwar, wreszcie języki ludów i narodów nie posiadających swego wyłącznego terytorjum, tj. 51. hebrajski i 52—53. niem.-żydowski i hiszpańsko-żydowski (13), 54. cygański (1), i w końcu około 20 innych języków na Kaukazie, z których najważniejsze: czeczeński, czerkieski, abhazyjski, mingrelski, itd.

Ginąca rzeka.

Wiele rzek w Europie ma tę własność, że nagle w danem miejscu giną, by ukazać się znowu i to tak daleko, że trzeba było wieków czasu, by móc ustalić, iż ta nowa rzeka to jedynie dalszy ciąg dobrze już nam znanej, która właśnie w podziemiach się ukryła. Dopiero użycie w tym celu środków silnie zabarwiających wykazało dowodnie, że to ta sama rzeka.

Tak wielka rzeka, jak Rodan (Francja południowo-wschodnia) również przez długi czas w części swego biegu była ukryta, dając natchnienie poetom i malarzom. Ale dziś, gdy ta jej własność wydobyta została na jaw, zabrali się do roboty inżynierowie, którzy powysadzali wszystkie skały, kryjące bieg Rodanu.

W Anglji rzeka Minafold nie zdradziła jeszcze tajemnicy swej. Płynie ona w bardzo pięknej dolinie. Znika ona nagle, a żadne środki nie pomogły dotąd ku wykryciu, gdzie wypływa ponownie. Jest tylko podejrzenie, że ma to miejsce o 6 kilometrów od miejsca zniknięcia w Ham Hali, gdzie bije źródło zagadkowe,

Ilość wody na świecie.

Obliczenie ilości wody, znajdującej się we wszechświecie w stanach lotnym, płynnym i stałym (para, płyn, lód), jest, oczywiście, rzeczą trudną i dokonane być może jedynie w przybliżeniu. Jednakowoż pewien uczony niemiecki obliczył teraz, że wszechświat ma wody 1304 miljony miljardów metrów sześciennych.

Ta olbrzymia masa wody dzieli się na części następujące: oceany i morza 1300miljonów miljardów metrów sześciennych; jeziora, stawy 250.000 miljardów; rzeki 50.000 miljardów; błota 6.000 miljardów; lody podbiegunowe 3 i pół miljona miljardów; mgła i chmury — 12300 miljardów; śnieg — 250 miljardów metrów sześciennych.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp. Wojciech **Byczek** w O.: Wierszyk znajomej bardzo miły, chętnie go zamieścimy. — Jan **Burzawa** w Chicago: Za pozdrowienia od rodaków z Ameryki serdecznie dziękujemy. Pani Henryce, jako dawnej znajomej, przesyłamy specjalne pozdrowienia. — **G. Wirstnik** w Szcz.: Pracę konkursową otrzymaliśmy. — Jan **Frączek** w P. C.: Otrzymaliśmy. — Eugenjusz **Feliks** K. H.: „Wesele Walka" nadeszło. — Józef **Kapuściński** w L.: Aż do zamknięcia konkursu można nadsyłać. Drukować będziemy po rozstrzygnięciu. — **Na konkurs** otrzymaliśmy w dalszym ciągu następujące utwory: „Białe róże", „W roku 2000", „Miłość zwycięża", „Głupi", „Stare czasy", „Napad bandytów". — Józef **Morawa** w S. B.: Tym razem wierszyk się nie udał. — Wincenty **Kuglin** w K.: „Albina" zbyt osobista — nie do druku. — **To-to:** Utworów konkursowych nie oceniamy zaraz, ale uczyni to sąd konkursowy. Nadesłane logogryfy zamieścimy. — Tomasz **Gazda** w Szufnarowej: List Pański otrzymaliśmy. Prosimy o cierpliwość. Najprzód zapytamy się urzędu pocztowego, czy do gminy regularnie doręcza, a o ile tak, to wniesiemy skargę do województwa na urząd gminny. Przed czterema tygodniami rozesłany został okólnik Ministerstwa spraw wewnętrznych, celem regularnego doręczania „Roli". Urząd gminny zdaje się na niego nie zwrócił żadnej uwagi. Szereg zaginionych numerów Panu przesyłamy powtórnie. — **E. Skaczelowa** w K.: 290 K. orzymaliśmy, nadwyżkę zaliczymy, dziękujemy. — Wojciech **Byczek:** Z Osobnicy w I. półroczu prenumeratorem był tylko p. Lazar Stanisław. Pod wskazanymi adresami numera okazowe wysłaliśmy. Dziękujemy za życzliwość.

Wszyscy Czytelnicy kupujący „Rolę" w agencjach gazet, a nie mający dla kompletu wszystkich numerów „Roli", mogą je otrzymać po nadesłaniu 25 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać także znaczkami pocztowemi w listach. Całe kwartalniki (13 egzemplarzy) taniej, bo za 2 zł. 60 gr.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 6 wrzenia b. r.

Pszenica .	51·00—52·00	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto . .	40·00—41·00	Ziemniaki stoł.	11·00—12·00
Owies . .	30·00—31·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	37·00—39·00	sienn. czer.	00·00—00·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Zagadki do nagrody.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W.).

1. Zadanie konikowe.

Pierz	On	Myj	Brud	cię
zaw	rysię	em	zaw	mi!
brud	i	sze	go	mami,
sofisz	sze	spla	ce	lat

Ruchem konikowym odczytać zdanie zamieszczone w powyższym kwadracie.

2. Logogryf.

Z następujących sylab:

a, au, bi, ciec, czyn, dnik, do, do, dwi, el, eu, gi, in, ju, jusz, ka, ka, kąs, kir, ko, ko, ktor, le, lu, ma, nek, nia, no, o, oj, prze, ra, ro, ru, sa, stru, tu, tyk, usz, war, wi, wic, za, ze, zi, zjazm, zon,

utworzyć 15 wyrazów o podanem znaczeniu, których początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół dałyby imiona i nazwiska dwóch sławnych pisarek polskich.

Znaczenie wyrazów: 1) Zapał inaczej. 2) Imię żeńskie, 3) Kierownik. 4) Uroczystość pamiątkowa (wspak). 5) „Królowa rzek. 6) Inaczej kolonista. 7) Styl. 8) Ferment inacz. 9) Kraj obfitujący w złoto. 10) Szyderstwo inacz. (wspak). 11) Fryc inaczej. 12) Lud stepowy. 13) Głowa rodziny. 14) Obrazek inacz. 15) Sklep starych książek.

3. Łamigłówka geograficzna.

Berwick, Ipswich, Derby, Blackburn, Stockport, Cambridge, Bedford, Chester, Weymouth, Hastings, Chatham, Barnstale, Jona, Carliste.

Z podanych nazw miast wyjąć po jednej literze i utworzyć państwo, w którem te leżą.

4. Łamigłówka zoologiczna.

Zięba, perkoz, pełzacz, wilga, drozd, cietrzew, czeczotka, kukułka, sikorka, skowronek, żóraw, lelek, jeżyk, słowik, pliszka, sójka, kwiczoł.

Z podanych nazw ptaków wyjąć po jednej literze i utworzyć nazwę ptaka arktycznego.

5. Łamigłówka w kwadracie.

□ □ □ □ □ □ Pierwiastek chemiczny.
□ □ □ □ □ □ Grecki bóg słońca.
□ □ □ □ □ □ Ptak.
□ □ □ □ □ □ Wywóz inaczej.
□ □ □ □ □ □ Utwór geometryczny.
□ □ □ □ □ □ Dziki szafran.

□ □ □ □ □ □ Zwierzę.
□ □ □ □ □ □ Mór inaczej.
□ □ □ □ □ □ Miasto w Niemczech.
□ □ □ □ □ □ Rzecz jedyna w swoim rodzaju.
□ □ □ □ □ □ Prawidło inaczej.
□ □ □ □ □ □ Państwo inaczej.

Początkowe litery wyrazów górnego i dolnego kwadratu dadzą imię i nazwisko znanej osobistości z „Roli".

6. Przysłowie.

(Ułożył Wł. Marko z K.).

Sąd nomen sir recte komuna kazał im tu za starą kość pić.

Z powyższego ułożyć znane przysłowie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 17 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 35 „Roli":

1. Logogryf: Stanisław Wyspiański — Włodzimierz Tetmajer. 2. Szarady: I. Cytryna. II. Tatarka. 3. Zagadka: Skała — łaska. 4. Układanki: I. Wyrwał się jak Filip z konopi. III. Jakie drzewo taki klin, jaki ojciec taki syn. III. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Jan Patulski z S., Gabrjel Wirstnik z Szcz., Karol Piegza z W., Jan Rachmiel z S., Stanisław Sito z W., Karol Ozga z D., Jan Roztocki z L., Władysław Dec z N., Jan Stypa z W., Jan Zimny z L., Karol Stec z W., Michał Raźny z S., Piotr Czułek z M. K. Nagrody wylosowali pp.: G. Wirstnik z Szcz. i Karol Stec z W.

Wydawca: Feliks Kowalczyk.
Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu» w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Przesadna oszczędność.

Przybyły z Marsylji Marjus zwiedza mieszkanie swego rodaka Cezara, osiadłego w Paryżu.

— Ale w zimie musisz tu porządnie marznąć. Ogrzewania centralnego niema, piecyki mają wygląd nieszczególny, a przytem 6 piętro pod samym dachem...

— Wyobraź sobie, że jedno polano wystarcza mi najzupełniej przez całą zimę i jest mi ciepło.

Marjus uśmiecha się sceptycznie — nie jego brać na marsylską blagę.

— Myślisz, że cię nabieram? Wcale nie! Ot, poprostu: zrzucam polano z 6 piętra, poczem szybko zbiegam po schodach ,by je podnieść. Po paru takich wycieczkach jest mi, mogę cię zapewnić, tak gorąco, że zlany bywam w najchłodniejsze dni potem.

Marjus krzywi się pogardliwie:

— Widzę, że nie przestałeś być lekkomyślnym utracjuszem...

— Jakto?! Więc to nie jest tani i praktyczny sposób ogrzewania?

Marjus kiwa głową z politowaniem i dodaje:

— Po kiego djabła wyrzucasz pieniądze na polano?...



Na wsi.

— Czy idę dobrze do Psiej Wólki? Pokaż mi piękna dziewczyno...

— Idźcie z Bogiem! Ja nie mam nic do pokazowania!



Otóż kto?

— Ojcze, chciałbym się o coś zapytać? — rzecze mały Henio.

— Cóż znowu chcesz? — odpowiada ojciec, odkładając niecierpliwie książkę.

— Niech mi ojczuś powie — mówi malec — kto pochowa ostatniego człowieka, jeśli cała ludność wymrze?



Pytanie drażliwe.

Nauczyciel pewien w szkole wiejskiej pragnął dzieciom wyraźnie objaśnić znaczenie sumienia, więc mówi do jednego z uczniów:

— Przypuśćmy, że skradłeś kawałek cukru, i szybko włożyłeś go do ust, usłyszawszy, że ktoś wchodzi. Cóżby się wtedy stało?

— Dostałbym baty! — rzekło dziecko.

— Dobrze, ale chyba zaczerwieniłbyś się ogromnie, prawda? A czemu?

— Bo starałbym się szybko połknąć cukier.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie,
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

Konkurs.

Chcąc zachęcić naszych Czytelników do próbowania sił na polu literackim, a innym dać jak najwięcej rzeczy ciekawych do czytania, ogłaszamy niniejszem konkurs na powiastkę, opowiadanie, legendę, bajkę, humoreskę lub wreszcie artykuł poważny.

Warunki konkursu są następujące:

Utwór musi być oryginalny, to jest z nikąd nie przepisany, ani przez nikogo innego nie opowiedziany. Musi zawierać treść zajmującą, odpowiednią dla „Roli“, napisany w formie przystępnej. Objętość utworu nie może zajmować więcej aniżeli jedną stronnicę „Roli“. Musi on być pisany czytelnie, po jednej stronie papieru.

Prace można nadsyłać już. Termin zamknięcia konkursu podamy nieco później. Jako nagrody za najlepsze utwory przeznaczamy kilkanaście cennych książek powieściowych, które otrzymają autorowie 10 najlepszych utworów. Tak nagrodzone, jak i nienagrodzone a dobre utwory będą drukowane kolejno w „Roli“.

W razie napłynięcia większej ilości dobrych utworów ilość nagród powiększymy.

Celem ułatwienia pracy sądowi konkursowemu, złożonemu z wydawcy i Redakcji „Roli“ prosimy o wczesne nadsyłanie utworów.

Redakcja „Roli“.